Nr. 31. Lwów, Niedziela dnia 30. Lipca 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXX.

Zjazd Towarzystwa pedagogicznego.

I. Dziesiąty walny zjazd członków Towarzystwa pedagogicznego, odbył się w Samborze, d. 17, 18 i 19 b. m. Tak jak do Towarzystwa oprócz nauczycieli należą także i inni obywatele, ze szkołami bezpośredniej nie mający styczności, ale uznający czynem a nie słowem tylko, wielką doniosłość sprawy publicznego wychowania — tak też czynność Towarzystwa tego i obrady walnych jego zgromadzeń powinne zająć ogół obywateli kraju. Szczegółowe sprawozdania ze zjazdu podały codzienne pisma, my poprzestaniemy na ogólnem jego scharakteryzowaniu i podaniu kilku uwag, które się przy tej sposobności same nasuwają.

Przedewszystkiem zaś winniśmy oddać uznanie nauczycielstwu, w Towarzystwie tem połączonemu i tak gorliwej w niem oddanemu pracy. Przeważną część członków Towarzystwa tworzą nauczyciele szkół ludowych. Przypomnijmy sobie, jakiem było, jakiem jest jeszcze w znacznej części położenie nauczycieli szkół ludowych. Płaca, jaką pobierają, zaledwie wystarcza na życie. Rzuceni pomiędzy lud nasz, którego oświatę tak bardzo zaniedbano, który przeto sam jeszcze potrzeby nauki nie czuje, ważności szkoły ocenić nie zdoła, godności nauczycielskiego stanu uczcić nie umie — muszą nauczyciele ludowi nieustanny bój staczać z ciemnotą, z całą siłą niewyrozumowanego konserwatyzmu opierającą się światłu. Muszą staczać walkę z licznemi wadliwościami ustaw, które szkole nie dozwalają się należycie rozwinąć — z dziwnym przesądem przeciw oświacie ludu, jeszcze się w wielu zatwardziałych głowach gnieżdżącym — wreszcie z brakiem funduszów do dostatecznego zaopatrzenia szkoły w konieczne przybory naukowe, któreby i nauczycielom i uczniom pracę ułatwiały. Mimo tej walki ciągłej i wyczerpującej siły, mimo wielkiego niedostatku — nauczyciele ludowi nasi mają w sobie tyle poczucia obowiązku, że we wszystkich oddziałach Towarzystwa pedagogicznego tworzą najliczniejszy kontyngens, że w zebraniach oddziałowych gorliwy biorą udział, pracują nad odczytami i rozprawami, w których doświadczeniami swemi dzielą się z towarzyszami zawodu swego, że wreszcie z dalekich stron kraju tak licznie zbierają się na walne zjazdy, co mimo ulg pewnych i przez koleje żelazne i przez Zarząd Towarzystwa czynionych, zawsze ze znacznymi kosztami jest połączone.

To życie, ten ruch w Towarzystwie złożonem przeważnie z ludzi ubogich, jakże pięknie odbija od zastoju w innych naszych Towarzystwach, nawet takich, w których jeżeli nie co innego, to przynajmniej wspólny interes powinienby jak największą liczbę obywatelstwa jednoczyć. Przy ciągłym, stałym wzroście i funduszów i zastępu członków, i liczby oddziałów, i liczby zebrań oddziałowych i rozpraw na nich czytanych — jakże smutnie odbijają takie np. Towarzystwa rolnicze, których Zarządy same w swych sprawozdaniach przyznać muszą, iż główne siły żywotne czerpią z subwencyj rządowych, a wykazując z każdym rokiem zwiększające się zaległości, utyskują zawsze na coraz mniejszy udział członków. Cześć więc nauczycielstwu naszemu — które tak gorliwą w Towarzystwie pracą składa dowody silnego poczucia obowiązków, a zarazem usilnej chęci kształcenia się i nieustannego postępu.

Z prawdziwym żalem musimy uznać, że da się to przeważnie tylko do nauczycieli ludowych zastosować. Nauczyciele szkół średnich — mówimy tu o wielkiej ich większości a nie o wyjątkach — bynajmniej tu nauczycielom ludowym nie przodują i nie przyświecają przykładem, owszem gorliwości tej i tego poczucia obowiązku od nich by się uczyć mogli. Tak Zarząd główny jak i Zjazd walny co roku użala się na mały udział nauczycieli szkół średnich. Podczas gdy w sekcji szkół ludowych sala zawsze jest zapełnioną — sala sekcji szkół średnich pustemi zazwyczaj świeci ławkami. Gdy z nauczycieli ludowych każdy, cokolwiek więcej wykształcony, a niewątpliwie każdy z młodszej generacji należy do Towarzystwa pedagogicznego — z nauczycieli szkół średnich mała część tylko jest zapisanych do Towarzystwa, a z pomiędzy tych bardzo mała cząstka bierze udział w jego czynnościach.

Tegoroczny zjazd pod tym względem zapowiada zwrot korzystny. O ile sobie przypominamy na wszystkich poprzednich zjazdach w sekcji szkół średnich poruszano zazwyczaj tylko sprawy metodyczne i dydaktyczne, które tutaj o tyle mniej obudzały zajęcia, że nauczyciele tych szkół — słusznie czy niesłusznie w to nie wchodzimy — w swej filozoficznej powadze może nie bardzo radzi temu, by się jeden od drugiego miał czegoś uczyć. Tego roku jednak poruszono sprawy organizacyjne, które powinne o wiele więcej obudzić zajęcia, a uchwały które w tym kierunku zapadły i program jaki sobie na przyszłość zakreślono, powinne zachęcić nauczycieli szkół średnich do gorliwszego udziału w czynnościach Towarzystwa.

Najważniejszą w tym dziale poruszoną sprawą, było przeciążenie uczniów, o czem mówił w sekcji dyrektor Samolewicz. Niedawno zwrócił na to uwagę minister oświaty dr. Stremayer, i osobnym okólnikiem do wszystkich dyrekcyj szkół średnich wezwał, by się nad tą sprawą gruntownie zastanawiano, i o ile się to w ramach dzisiejszego planu organizacyjnego da uczynić, przeciążeniu temu zapobiegano. Dr. Samolewicz podał jako przyczyny przeciążenia, któremu zaprzeczyć nie można, 1) złe książki szkolne; 2) błędną metodę nauki u bardzo wielu nauczycieli, nie dbających o to, by uczeń jak najwięcej wiadomości wyniósł z samej szkoły, a skutkiem tego zbytnie obciążenie nauką domową, 3) pobłażliwość w klasyfikacji w pierwszych latach nauki, 4) system dzisiejszy egzaminów dojrzałości, 5) złe urządzenie ćwiczeń piśmiennych, 6) wadliwy z gruntu ustrój instytucji suplentów. Sekcja wszedłszy w szczegółową rozprawę, powzięła merytoryczną uchwałę — następnie przez walne zgromadzenie zatwierdzoną — tylko co do pierwszego punktu. Uznawszy bowiem, że w istocie nie mamy dobrych książek szkolnych, że dalej książki te zbyt często się zmieniają — postanowiła wnieść prośbę do rady szkolnej krajowej,

ażeby wybraną została osobna komisja książek szkolnych dla szkół średnich, której członkowie, dla zapewnienia nieustającej z ich strony, urzędowej już nie amatorskiej tylko czynności, byliby płatni. Komisja ta miałaby oceniać przedłożone książki i dawać im aprobatę, poruczać pisanie dzieł nowych według ułożonego z góry planu, słowem czynić wszystko co potrzeba, ażeby uczniom szkół średnich można dobre książki dać do rąk. Postanowiono także prosić, aby mogły być aprobowane książki także i w manuskryptach przedkładane, a nie jak dotąd tylko po wydrukowaniu. Skutkiem bowiem dzisiejszego sposobu postępowania, iż do ocenienia i aprobaty przyjmowano tylko już wydrukowane dzieła, nakładcy bardzo niechętnie podejmowali się wydania, i zbyt skromne płacili honorarja, nie mając tej pewności, czy książka uzyska aprobatę. Że zaś nie ma racjonalnego powodu przyjmowania tylko dzieł już wydrukowanych — przeto prośbę tę spodziewa się Towarzystwo usunąć jedną z najważniejszych przeszkód w uzyskaniu dobrych książek dla szkół średnich.

Sprawa suplentów poruszoną była także osobnem sprawozdaniem prof. Soleskiego. Dzisiejsza instytucja suplentów jest prawdziwym rakiem, toczącym organizm naszych szkół średnich. Uczeń wydziału filozoficznego po ukończeniu trzechletniego kursu — na który jeszcze bardzo często nie uczęszcza, a tylko frekwentacje daje sobie podpisywać — może od razu uzyskać suplenturę. Nie zdaje żadnego egzaminu nie odbywa żadnej praktyki. Z wiadomościami czasem bardzo powierzchownemi, a przynajmniej bez złożenia jakiegokolwiek dowodu, że posiada gruntowne — dalej bez najmniejszej praktyki, z którejby nabył choć jakiej takiej metody w nauczaniu i pewnej pedagogicznej rutyny — wchodzi taki absolwowany filozof do szkoły, i obejmuje zaraz zupełnie samodzielne stanowisko. Bo przy całej gorliwości i dyrektora i inspektorów w odbywaniu wizytacyj — a wiemy że tą gorliwością nie zanadto oni grzeszą — ostatecznie nauczyciel każdy, suplent czy profesor uczy w klasie jak chce i czego chce. Skutkiem tego tedy odbywają się czasem najdziksze eksperymenta *in anima vili* młodzieży naszej. Jeden wykładać chce jak uniwersytecki profesor, obciążając uczniów mnogością szczegółów zgoła niepotrzebnych, drugi grzeszy przeciwnie zbyt powierzchownem traktowaniem przedmiotu. Jeden uważa wszystkie szczegóły przedmiotu jako równie ważne — drugi wybiera sobie tylko pewne ulubione albo dokładniej mu znane, przeskakując inne może właśnie najważniejsze. Słowem: przy dzisiejszym ustroju suplentów panuje zupełny chaos. Towarzystwo pedagogiczne chcąc temu zaradzić uchwaliło na wniosek sekcji szkół średnich poczynić gdzie należy stosowne kroki, ażeby 1) dzisiejszą instytucję suplentów zniesiono, 2) dla kandydatów nauczycielskich zaprowadzono po ukończeniu filozoficznego trzechlecia ścisły teorytyczny egzamin, 3) po egzaminie przydzielano kandydatów na praktykę do szkół, a po odbytym roku próby poddawano praktycznemu egzaminowi, 4) po egzaminie praktycznym dawano stałą nominację, 5) ustalono stanowisko dzisiejszych suplentów.

Co do innych kwestyj przy sprawie przeciążenia poruszonych, nie powzięło wprawdzie żadnej merytorycznej uchwały — ale uchwała formalna jaka zapadła, może się stać wielce doniosłą, jeżeli wejdzie w wykonanie. Gdy bowiem w toku rozpraw przekonano się, że z konieczności dyskusja ta musi się rozciągnąć na całe szerokie pole organizacji szkół średnich, do czego nie było przygotowania należytego — postanowiono po gruntownem zbadaniu sprawy w Zarządzie zwołać osobną konferencję nauczycieli szkół średnich i jej tę całą kwestję przekazać. Zarząd będzie miał przed zwołaniem konferencji ułożyć i rozesłać kwestjonarjusz, na podstawie odpowiedzi nadesłanych przygotować dla konferencji już gotowe wnioski, i w ten sposób dojść do rezultatów na gruntownych, silnych podstawach. Ta uchwała może bardzo pomyślnie wpłynąć na udział nauczycieli szkół średnich, w czynnościach Towarzystwa, a jeżeli taka konferencja przyjdzie do skutku, może niezmierne oddać usługi sprawie tych szkół, których reorganizacja już od dawna przez wszystkich światłych pedagogów jako niezbędna jest uznaną.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Dokończenie).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

XIX.

Pan Artur jadał objady w oddzielnym pokoju hotelu francuskiego w Dreznie.

Zbierała się w tym pokoju sama śmietanka przejezdnego drezdeńskiego towarzystwa.

Tego dnia, którego tam wchodzimy, panu Arturowi towarzyszyło dwóch hrabiów na *ski*, jeden baron na *wicz*, jeden jeszcze jegomość mający w nazwisku którąś z tych dwóch końcówek, a przed nazwiskiem tylko samo *von*, które każdy szlachcic polski przyjechawszy do Niemiec przybierać ma sobie za obowiązek. Jak fama głosiła, ten ostatni, choć tylko *von* bez tytułu, był ze wszystkich obecnych najbogatszy.

Kończono właśnie jakiś *potage* i pogadanka toczyła się w najlepsze, gdy wszedł kelner i z należnem uszanowaniem zapytał pana Artura, który był tego dnia Amfitrjonem, czy nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli w tym samym pokoju nakryje pewnemu panu z wysokiej szlachty polskiej, który poprzedniego dnia stanął w Hotel de France i pragnie jeść objad w restauracji *à la carte*, a sąsiednie salony zdają mu się zabardzo przez gości zajęte.

— Pan z wysokiej polskiej szlachty — zauważył baron *wicz* czy też jeden z hrabiów *skich*, — ależ to niepodobna, żeby go ktoś z nas nie znał.

— To pewna — potwierdził *von*.

— A zatem proś tego pana — odpowiedział kelnerowi pan Artur.

I zwracając się do współbiesiadników dodał:

— Ktokolwiek z panów zna tego pana, kładę na niego obowiązek, żeby go ze mną zapoznał i do naszego stołu zaprosił.

Gość z wysokiej szlachty polskiej wszedł i okazało się, że nie był pewnej części towarzystwa nieznanym. Znał go jeden z hrabiów *skich*, i baron *wicz*.

Zaproszono go zatem do towarzystwa, przyjął zaproszenie uprzejmie.

Rozumie się, że nim usiadł do stołu, musiały się odbyć przedstawienia. Prezentacją drugiego hrabiego *ski* i pana *von* przyjął nowo przybyły gość w milczeniu, poznając się z hrabią Arturem powtórzył parę razy jego nazwisko.

— Szóstacki?... Szóstacki?... czy nie z Podola?...

— Tak jest z Podola, panie.

— A! to mnie cieszy niewymownie... i ja także jestem z Podola!...

Nastąpiło ucałowanie staroszlacheckim obyczajem w oba policzki.

— Więc pan dobrodziej... — zaczął nowoprzybyły.

Ale poprawił się po chwili.

— Więc pan hrabia dobrodziej skuzynowany może z Szóstackimi z Łaszczyniec?

Jestem rodzonym synem, jedynakiem marszałka Szóstackiego z Łaszczyniec — odpowiedział z dumą rodową hrabia Artur.

— A w istocie! — zawołał Podolanin — i że ja też mogłem nie poznać!... ależ pan jak dwie krople wody podobny do nieboszczyka marszałka.

— Do nie...bosz...czy...ka? — powtórzył pan Artur zdumiony.

— A no jakże?... przecież umarł cztery tygodnie temu...

— Mój ojciec umarł?

— Pański ojciec... jeżeli pan jesteś jego synem... w każdym razie marszałek Szóstacki z Łaszczyniec.

— Ależ to niepodobna! panie łaskawy. Ja nie mam żadnej wiadomości...

— Umarł na apopleksję... to niepojęte, żeby syn mógł o tem nic nie wiedzieć!... W naszej okolicy przez trzy dni o niczem innem nie mówiono...

— Plotka chyba, którą ktoś puścił — wtrącił jeden z hrabiów *skich*.

— O takiej śmierci musiałoby przecież stać w gazetach — dorzucił drugi hrabia *ski*.

— A może i stało w polskich — zauważył baron *wicz*, ale któż tu w Dreznie czyta polskie gazety?...

— Ja bo ich i w kraju nie czytam — nadmienił z całą szczerością pan *von*.

— Ale to by dobre było — rzekł tubalnym głosem gość z wysokiej szlachty podolskiej, — toby dobre było, żeby się synowie o śmierci ojców dopiero z gazet dowiadywać mieli... Od czegóż listy?...

— Ja też nie wierzę — odparł hrabia Artur — wprawdzie od miesiąca przeszło nie miałem żadnego listu z domu, ale to właśnie dowodzi, że tam nic ważnego nie zaszło. Musi to być plotka i więcej nic.

— Ha! może i plotka, — nie obstając przy swojem rzekł Podolanin, — zdaje mi się, żem dostał zaproszenie na pogrzeb, alem z niego nie korzystał, bo się właśnie wybierałem zagranicę... Chyba plotka... I byłbym szczęśliwy, żeby to była plotka, bo nieboszczykowi marszałkowi, chociaż go mało znałem, zawsze najlepiej życzyłem, a przy wyborach na marszałka sam mu dałem kreskę, tak mi Panie Boże dopomóż. To też wolę żeby to była plotka, i dlatego pozwolą mi

panowie, że wzniosę zdrowie nieboszczyka marszałka, niech nam żyje w setne lata!...

Spełniono kielichy, starano się rozweselić, ale nie szło to jakoś. Amfitrjon był zaniepokojony niezmiernie. Przeczucie mu mówiło że coś okropnego się stało. Zaraz po czarnej kawie pożegnał swych kompanów, wsiadł do fjakra i pospieszył na ulicę Moszczyńskiego.

— Może dziś jaki list będzie — mówił do siebie.

Wbiegł na schody z niearystokratycznym wcale pospiechem Przed drzwiami zastał oczekującego jakiegoś człowieka w szaraczkowej kapocie, którego Herr Johann widać do apartamentu nie wpuścił.

Człowiek ten skłonił się z największą uniżonością panu Arturowi i rzekł:

— Przyjechałem, jaśnie panie, błagać łaski i sprawiedliwści jaśnie pana.

— Ty? Grzebikowski? tutaj? co robisz? czego chcesz?...

— Jaśnie pan mnie wypędził bez litości i niezasłużenie.

— Kto? mój ojciec?

— Nie... jaśnie pan.

— Kto taki?...

— Jaśnie pan, jaśnie panie.

— Jaśnie pan, jaśnie panie!... niech cię licho porwie jeśli rozumiem... kto cię wypędził, zkąd i kiedy?...

— Jaśnie pan — rzekł Grzebikowski wskazując na pana Artura.

— Ja?... ależ to chyba ojciec mój spędził na mnie tak jak z tą nieszczęśliwą szambelanową...

— Jaśnie panie — rzekł lamentująco pan Wawrzyniec — co tu się wypierać — mnie to nie pomoże, a jasnemu panu t bliża... mam tu pismo jasnego pana, a stało się to już w parę tygodni po śmierci jasnego ojca jasnego pana...

— Oszalałeś?... masz moje pismo?... ależ ja nie pisałem do ciebie... mój ojciec umarł? czy wy mnie do szaleństwa chcecie doprowadzić... tamten plótł i ty pleciesz, nie wiem o niczem... chodź!...

Szarpnął pan Artur komisarza za rękaw i popchnął go do mieszkania, którego drzwi Herr Johann już na oścież przed nim otworzył.

— Dzieje się tu coś niepojętego — mówił trąc się po czole, wpół do siebie, wpół do oficjalisty — trzeba zebrać całą przytomność umysłu.. Powiadasz że mój ojciec umarł?...

— Jaśnie pan nie wie?... — zawołał bledniejąc Grzebikowski.

— Głupi jesteś... nie wiem co wiem a czego nie wiem.. odpowiadaj na pytania... mój ojciec umarł?...

— Umarł jaśnie panie.

— Dawno?

— Pojutrze będzie pięć tygodni.

— Dlaczego mi nie doniosłeś?

— Telegrafowałem.

— Widać nie doszło... Mówisz żeś dostał list odemnie?

— Dostałem, jaśnie panie.

— Pokaż.

Grzebikowski pokazał znane nam już pismo.

— Ależ to nie ja pisałem! — krzyknął prawie z rozpaczą były kamerjunkier.

— Pismo jednakże jaśnie pana.

— Podobne... sfałszowane!... o jakim on tu Fajskim gada? ja nie znam żadnego Fajskiego!...

— Jaśnie pan nie zna Fajskiego?

— Nie słyszałem nigdy tego nazwiska... cóż to za jeden?...

— Ależ plenipotent jaśnie pana...

— Mojego ojca?...

— Nie, jaśnie pana!... jaśnie pan go przysłał z pełnomocnictwem...

— Ja?!...

Pan Artur chwycił się za głowę.

— Jezus Marja! — krzyknął — i cóż on tam porobił w mojem imieniu?...

— Pochował przyzwoicie jaśnie pana marszałka, a potem...

— Potem? powiedże raz...

— Kiedy nie mam odwagi, bo widzę że to szalbierz jakiś..

— Gadaj! dzieckiem przecież nie jestem, wiedzieć muszę...

— Więc rozprzedał wszystkie majętności za bezcen. za półdarmo, oprócz Zaskala, bo na Zaskale rząd nałożył sekwestr...

Były kamerjunker zachwiał się i upadł jak długi na szezląg.

— Ruina! jestem zrabowany! zgubiony!

Grzebikowski z Johannem po kilku skropieniach kolońską wódką przyprowadzili go do przytomności.

Że tegoż dnia jeszcze syn pana marszałka w towarzystwie pana Wawrzyńca jechał na Podole, zbytecznem byłoby dodawać. Cała nadzieja naprawienia złego choć w części leżała w tem, żeby samozwańczego plenipotenta zastać jeszcze na miejscu. Udano się nawet na policję i uzyskano od niej, że na żądania pana Szóstackiego, zawiadomiła policję Kamieniecką, iż Rafał Fajski jest samozwańcem i natychmiast przytrzymanym być powinien.

Te środki jednak nie przydały się na nic. Ani telegram policji drezdeńskiej, ani tembardziej sam pan Artur z komisarzem swoim nie znaleźli Rafała Fajskiego na miejscu.

Znikł on i przepadł jak kamień w wodę, przeniósłszy tytuły własności wszystkich majątków pana Szóstackiego na inne osoby, i zebrawszy w gotówce około stu piętnastu tysięcy rubli, których jednak, jak się zdaje nie zabrał w zupełności z sobą, gdyż ów tytularny sowietnik w Kamieńcu, który przez przejmowanie korespondencji tak dzielnie mu sekundował, w owym czasie właśnie został właścicielem kamienicy dwupiętrowej przy jednej z pryncypalnych ulic.

Panu Arturowi z całego majątku pozostały tylko procesa: z nowonabywcami o odzyskanie nieprawnie nabytych posiadłości i z rządem o własność Zaskala, tudzież sumki hypoteczne, lokowane na dawnych jego ojca posiadłościach, których pseudo-plenipotent dla braku czasu i gotówki u nabywców nie mógł pościągać.

Od tego czasu ubiegło już lat dwanaście i pan Artur większą część tych procesów w najwyższej instancji powygrywał. Senat rządzący w Petersburgu uznał, że sekwestr nałożony na Zaskale powinien być zdjęty, ponieważ dokumentu sprzedaży tej posiadłości strona prywatna nie kwestjonuje, konfiskata zaś majątku rotmistrza Gradowskiego nie została prawomocnym wyrokiem ogłoszoną. Zaskale zatem pozostało panu Arturowi czyste.

Co do innych majętności, senat rządzący w Petersburgu zawyrokował, że mają one być zwrócone panu Arturowi, ale za zwrotem ceny jaką nabywcy ich za kupno wyłożyli, i bez możności żądania wynagrodzenia za czas przez który je posiadali, albowiem nowonabywcy kupując działali w dobrej wierze, straty zaś jaką pan Artur z tego powodu poniósł poszukiwać on może na Rafale Fajskim w drodze karnej.

Ponieważ koszta procesów pochłonęły sumy ogromne, a na zwrot sum przez Fajskiego pobranych pan Artur nie miał pieniędzy, musiał przeto każdą odzyskaną majętność sprzedać i przywłaszczone Zaskale zostało wprawdzie przy nim, ale słusznie mu należny i daleko większy majątek ojcowski zredukował się do zera.

Zeszedłszy na szlachetkę o jednej wiosce, pan Artur nie uważał za stosowne nosić dalej tytułu do którego tak łatwo przyszedł zagranicą, zajęty procesami nie miał czasu się ożenić, ani dalej w karjerze dyplomatycznej pracować, jednem słowem zmuszony był dać za wygraną wszystkim świetnym nadziejom, jakie przywiązywał do swojej gwiazdy.

Ale przynajmniej Zaskale — krzywdą tułaczów nabyte — pozostało mu czyste, zauważą czytelnicy.

Było czyste rzeczywiście aż do końca lipca r. z. W tej epoce jednak policja wyśledziła miejsce pobytu Rafała Fajskiego. Znajdował się on w Lima pod jakiemś hiszpańskiem nazwiskiem, trudnił się dostawami dla peruwjańskiego rządu, i jak się łatwo domyśleć, robił kolosalne oszustwa.

Na jednem z takich oszustw został schwytany, wtrącony do więzienia, a majątek jego zabrano na pokrycie strat jakie skarbowi konfederacji peruwiańskiej przyczynił.

Dowiedziawszy się o tem z gazet, które od czasu katastrofy z Fajskim pilniej czytywał, pan Artur zaciągnął znaczną pożyczkę na Zaskale, i pojechał do Peru, żeby się procesować z rządem tamecznym, na tej podstawie, że on wprzód przez Fajskiego pokrzywdzonym został, więc ma pierwszeństwo do pokrycia strat swoich z pozostałego po nim majątku.

O przebiegu tego procesu niewiele wiemy. Życzliwi panu Arturowi obawiają się, żeby na koszta nie poszła ostatnia wioska, krzywdą tułaczów nabyta, jest bardzo prawdopodobne, że rząd peruwjański dopiero po odkryciu swoich strat dozwoli pokrywać straty cudze, a jest bardzo wątpliwe, zeby Rafał Fajski i na te ostatnie pozostawił także jakieś fundusze.

KONIEC.

*

WYCIECZKI
na współczesny Parnas Francuski

przez

J. S. Chamca.

II.

GEORGE SAND.

(Ciąg dalszy.)

Dla kontrastu przytaczamy teraz obrazek z północnej Skandynawji, z dzieła *L' Homme de Neige.*

„Le jour marchait vite. A une heure et demie aprés midi, les ombres transparentes des cimes neigeuses s'allongeaient déjà sur la surface bleuie du lac. C'était un beau spectacle. Ces courtes journées du Nord, ont des aspects infiniment pittoresques et même en plein jour les choses y sont „à l'effet,“ comme disent les peintres, c'est à dire qu'en raison de l'obliquité des rayons solaires, elles baignent dans la lumiére et dans l'ombre, comme chez nous aux heures du matin et du soir. C'est là probablement le secret de cette beauté de la lumiére, dont les voyageurs dans les climats septentrionaux parlent avec enthousiasme. Ce ne sont pas seulement les sites extraordinaires, les cascades impétueuses, les lacs immenses et les splendeurs des aurores boréales qui leur laissent de si enivrants souvenirs de la Suéde et de la Norvége; c'est disent ils, cette clarté délicieuse, ou les moindres objets prennent un éclat et un charme dont rien ailleurs ne saurait donner l'idée.

Ils sont cependant bien beaux, ces lacs, en hiver, avec leurs „mjelgars“ (c'est ainsi qu'on appele ces immenses éboulements sablonneux qui arrivent sur le rivage avec leurs arbres verts, leurs rochers et leurs bizarres dechirures) Le givre et la glace qui enchainent toutes ces formes étranges et qui, du moindre brin d'herbe, font une guirlande de diamants; ces inextricables réseaux de ronces que l'on prendrait pour de savants et immenses ouvrages en verre filé; ce beau soleil rouge sur tout cela; ces cimes déchiquetées là haut qui brillent comme des aiguilles de saphir sur la pourpre du soir, oui cette nature est grandiose, oui c'est un tableau qui éblouit, mais il éblouit et c'est là toute la critique qu'on peut en faire. Il vous exalte, il vous éléve au-dessus de vous même c'est beaucoup sans doute que l'enthousiasme; mais est ce là toute la vie? L' homme n'a-t-il pas un immense besoin de repos, de contemplation sans effort, de cette rêverie molle et délicieuse qu'on appele ailleurs „Far niente?“ Or c'est là bas, sur le „Trasiméne“ qu'on se sent magnifiquement végéter. C'est là qu'on pousse tout tranquillement et sans crise violente, sur ces rives bénies du soleil, sous le clair ombrage des vieux oliviers, et comme baigné incessament dans un fluide d'or chaud!“

Możnaż lepiej pojąć wdzięk tej dziwnie pięknej przyrody podbiegunowej? Możnaż lepiej oddać te zachwyty, które nas przygniatają w jej obliczu? A tenże miękí zwrot ku południowi, ten krzyk Mignon tęskniącej za niebem „gdzie pomarańcza dojrzewa!“ tak właściwy kontemplacyjnym usposobieniom kobiety? Marzyć i kochać, jak tam na marmurach Wenecji, oto wszystko czego jej potrzeba. Wszelki wysiłek straszy ją i zraża. Boi się nawet entuzjazmu i nie ulega mu, chyba mimowoli. Patrząc na ostre, jak gdyby podarte zarysy krajobrazów Północy, tęskni za zaokrąglonemi Południa linjami.

Lecz z samych krajobrazów, talentu Georges Sand nie można poznać dokładnie. Jedna to tylko u łuku jej cięciwa, a nie zbywa jej i na innych. Zobaczmy jak rysuje portrety, jak zacieniowuje charaktery.

„Młynarz z Angibault.“ Portret bohaterki:

„Marcelle de Blanchemont était plus petite de taille, qu'elle ne le paraissait, grâce à l'élégance de ses proportions et à la distinction de toutes ses attitudes. Elle était trés-franchement blonde, mais non d'un blond fâde, ni même d'un blond cendré, couleur trop vantée et qui éteint presque toujours la physionomie, parce qu'elle est souvent l'indice d'une organisation sans puissance. Elle étoit d'un blond vif, chaud et doré et ses cheveux étaient une des grandes beautés de sa personne ses traits n'étaient pas d'une grande perfection, et sa fraicheur était souvent fatiguée par une animation un peu fébrile. On voyait autour de ses yeux d'un bleu éclatant des teintes sombres, qui annoçaient le travail d'une âme ardente et que l' observateur inintelligent eut pu attribuer aux agitations d'une nature voluptueuse. Son teint variable, son regard droit et franc, un léger duvet blond aux coins de sa lévre, étaient chez elle les indices certains d'une volonté énergique, d'un caractére courageux. Elle ploisait au premier coup d'oeil sans éblouir, et tel qui ne l'avait pas crue jolie au premier abord, n'en pouvait bientôt détacher ses yeux ni sa pensée.“

Portret wzbogaconego wieśniaka z tejże powieści:

„Mr. Bricolin était un homme de cinquante ans, robuste et d'une figure réguliére. Mais l'embonpoint avait envahi ses membres ramassés, ainsi qu'il arrive à tous les campagnards à leur aise qui, passant leurs journées au grand air, à cheval la plupart du temps, et menant une vie active, mais non pénible, ont juste assez de fatigue pour entretenir l'exubérance de leur santé et la complaisance de leur appétit. Tandis que le paysan est toujours maigre, bien proportionné et d'un teint basané qui a sa beauté, le bourgeois de campagne est toujours, dés l'âge de quarante ans, affligé d'un gros ventre, d'une démarche pesante et d'un coloris vineux. Mr. Bricolin n'en était pas encore là. Il avait l'oeil vif noir et dur, la bouche sensuelle, le front étroit et bas, les cheveux crépus, la parole bréve et rapide. Demi-bourgeois, demi-manant, il portait le dimanche un costume mixte entre le paysan et le monsieur. Son chapeau avait la forme plus basse que celui des uns et les bords moins larges que celui des autres Il avait une blouse grise à ceinture et à plis fixés sur sa taille courte, qui lui donnait l'aspect d'une barrique cerclée. Tel était itd.“

Jak widzicie dwie maniery, jasna i ciemna niby ideał i niby karykatura, choć ani jedno ani drugie. Jak w dodatnim portrecie bohaterki nie masz „turkusowych oczów, koralowych ust, ząbków perłowych,“ i innych tym podobnych jubilerskich określeń jej piękności, któremi nas zazwyczaj łaskawi obdarzają powieściopisarze, tak i w portrecie ujemnym parwenjusza wieśniaka, nie masz zbyt grubych rysów, podkreślających zbytecznie jego brzydotę. To nie przeszkadza wyrazistości obydwóch postaci.

Czytałem gdzieś, nie pomnę już gdzie nawet, że malując portrety swoich bohaterek, Georges Sand bardzo często spoglądała sama w źwierciadło. Nie umiemy powiedzieć o ile to jest prawdą. Widzieliśmy ją raz jeden tylko, z bardzo daleka i bardzo niedokładnie. Widzieliśmy ją przytem, gdy już miała lat około 70. Porównanie zatem niepodobne. Wydała się nam brunetką; uderzył nas nadzwyczajny pomimo wieku blask jej dużych czarnych oczów i około nich może coś nakształt owych „teintes sombres qui annonçent le travail d'une âme ardente et que *l' observateur inintelligent* pourrait attribuer aux agitations d'une nature voluptueuse.“ Lecz trzeba być ostrożnym w tego rodzaju obserwacjach. Byliśmy uprzedzeni, że to Georges Sand, znaliśmy żywot jej burzliwy. Tego dosyć, by patrzyć nań nie zwykłym wzrokiem, a wzrokiem przygotowanej po temu wyobraźni. Uprzedzenie wiele może. Uprzedzenie może wszystko. Własnem to nieraz sprawdziliśmy doświadczeniem.

(Dok. nast.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

(Ciąg dalszy.)

Niesłychanie wiele zależało na tem, aby wyjaśnić Europie z katedry paryskiej, stosunek Rossji do Słowiańszczyzny i ducha jej dziejów, jej polityki, jej cywilizacji. Od tych wyjaśnień rzuconych umiejętnie, a bez namiętności — całemu światu zachodniemu, zależne by były zapatrywania nie tylko naukowe, ale i polityczne. Była to sprawa niesłychanej wagi, zwłaszcza dla Polski i dla Słowian, którzy nie znając Rossji hołdowali panslawizmowi pod jej hegemonją. Mickiewicz z największą objektywnością, bez uprzedzeń narodowych, bez najmniejszej żółci, anatomizował dzieje Rossji. Idąc drogą tą dalej, byłby ogromny przyniósł pożytek własnej ojczyźnie, narodom słowiańskim i Europie; zboczywszy na manowce towiańszczyzny, osłabił tem samem wiarogodność w swe poglądy dotychczasowe — a na dalsze zamknął sobie pole.

Nieprzyjemności jakie go spotykały, prześladowania, nawet obelgi — znękały go, zgniotły, i złamany wiódł żywot śród cierpień na odległem przedmieściu Paryża. W „Nowinach“ z r. 1854.*) opisuje autor artykułu: „Mistycyzm w poezji“ sposób życia kilku poetów naszych w Paryżu, a przedewszystkiem Mickiewicza. Idźmy za tym autorem.

Wprowadza on czytelnika do skromnego, za miastem położonego mieszkania poety. „Przez kuchenkę szczupłą i ciasną i długi pokoik, zawalony łóżkami starszych i młodszych, wchodzi się do większego nieco saloniku, który nigdy prawie nie jest pusty. Zawsze w nim zastać można kilku zgromadzonych razem mężczyzn. Starsi i młodsi z rysami mocno odznaczonemi okopceniem twarzy, które nie wiedzieć dla czego dwadzieścia lat przeszło nie starło się z liców, z wąsami zawisistemi i gęstemi brodami, stoją po bokach z wyrazem szczególnej pokory i uszanowania. Z tych twarzy tak rubasznych a oczów skromnie spuszczonych, utworzy się coś klasztor-

---

*) Nowiny. Rok 1854. Tom I. Lwów N. 48 str. 425—6. „Mistycyzm w poezji I. Adam Mickiewicz.“

nego, jakbyś patrzał na owych dawnych mnichów naszych, co to nieraz nawojowawszy się pół żywota, przemienili oręż na skaplerz, a przecież wyrazem zakonnej obedjencji, marsowych swych nie mogli zamaskować facjat. Wszyscy goście tego saloniku patrzą jak w tęczę i słuchają jak wyroczni człowieka, który szybkim i nierównym biega po salonie chodem, i trzymając ciągle w ustach krótką antypkę, bez piórka i bursztynka, z turecką fajką, puszczając z niej to większe to mniejsze kłęby dymu, ciągle żywym rozprawia głosem. Jeżeli usiądzie na chwilę, siadają i słuchający goście; jak powstanie i oni powstają...." „Z uwagą patrzysz w twarz mówiącego, z uwagą, czcią i ciekawością słuchasz jego słów, bo gospodarzem domu jest Adam Mickiewicz...." „Nie wiemy co było dawniej; mówimy w roku 1849. Nowo przybyły do salonu patrzy w twarz mówiącego; ruina! Głowa posągowa na chudem i niewielkiem ciele, z włosami mocno szpakowatemi, w tył zaczesanemi! Ale te zmarszczki nie regularne, co chwila prawie zmieniając się, skrzywieniem ust częstem mówieniem nabyte, spojrzenie oczów niepewne, jakby dawne barwy czas wytarł; wszystko to razem wzbudza koniecznie myśl ruiny posągu, pokaleczonego kapryśnym palcem przypadku, zjadliwym zębem czasu. Słucha mówiącego!... niestety! ruina!... Żal serce ściska, łzy cisną się do oczów!..." „Aby pojąć prawdę tego, co wyrzekliśmy o naszym wielkim wieszczu, trzeba chwil kilka posłuchać rozmowy zwykłej, i zrozumieć to jego otoczenie i rolę jaką on w niej odgrywa. Gdy nowy przybysz z kraju odwidza go, rozmowa jego cała z dwóch głównie składa się części, z pytań jałowych, i jeszcze więcej jałowych skarg. Pytania mogłyby tylko dowodzić ciekawości człowieka stęsknionego za krajem, którego zajmuje wszystko co ojczyste. Lecz są pytania i pytania! On w swoich pytaniach nie dotyka nigdy prawie strony intelektualnej, ale raczej kręci się ciągle w koło strony plastycznej, namacalnej. Mimowolnie przyjść może na myśl, że to pyta nie poeta, nie uczony profesor, natchniony historyk, ale malarz rodzajowy, potrzebujący dokompletować swoje wiadomości kostjumowe. I to nie dla tego, by go strona intelektualna nie interesowała, ale dla tego, że wedle zdania jego cała strona intelektualna narodu całego jest zupełnie skrzywiona, sfałszowana bez ratunku; i to nie tylko w kraju, ale i u nichże samych w emigracji. Ztąd też skargi nieskończone, różnemi słowami i różnemi głosami wypowiadane, skargi monotonnością swoją przypominające zawodzenia starych kobiet. Skargi na płochość, lekkomyślność, brak zastanowienia, lekkość, niestałość...." „Widząc wszystko tak złem i zepsutem, nigdy nie dotknie najmniejszem słowem sposobu zaradzenia złemu. Nagabany mocniej w tym względzie, spojrzy czasem tylko i to ukradkiem na swoje otoczenie i na jeden obraz wiszący między oknami. To jest tajemnicze koło, w którem się myśli jego obracają. Nie daremnie powiedzieliśmy, że widok tego salonu i jego gości przypomina zakon. Jest tam w rzeczy samej coś zakonnego. I tak jedni z jego towarzystwa nazywają go ojcem Adamem, drudzy bratem Adamem. Tamci całują go w rękę, ci zaś w ramię. Dla czego, darmo pytać; ani on ani jego towarzysze nic nie odpowiedzą; zwrócą na inny przedmiot, a na końcu rozgniewają się. Słowo tej zagadki, które oraz jest ich *sanctissimum*, jest ów wspomniany obraz. Obraz ten przedstawia tło nadzwyczaj ciemne, bez światła, bez gwiazdy, z lekkim tylko promieniem światła z góry padającym. Na tem tle zawieszona, jakby się w górę wznosiła, jest postać mężczyzny z twarzą Napoleona, oczywiście pierwszego. Wzdłuż niej spada długi, rodzaj niby płaszcza, niby całuna białego. Twarz jego jest mocnym bolem skrzywiona, ciemna i smutna; rozjaśnia ją tylko nieco światło z góry spadające. Na wszelkie zapytanie to tylko jedno można się dowiedzieć, że to jest *przetworzenie idei Napoleońskiej*. O więcej nie pytać! I pytać nawet nie warto, bo mimo całego przystrojenia mniej lub więcej poetycznego, rezultat zawsze jeden; w gruncie mało rzeczy, a wiele mistycznej mgły." „Ten rodzaj stowarzyszenia, które otacza Adama Mickiewicza, jest przerobioną pozostałością towiańszczyzny...."

Nie mamy prawa powątpiewać w wiarogodność autora — jednak mimowoli czujemy w tym obrazie, jeżeli nie przesadę, to przynajmniej koloryt nieco za jaskrawy. Mimo tego atoli, pozostaje zawsze niezawodnem, że i **jako człowiek** ucierpiał Mickiewicz pod wpływem towiańszczyzny.

W kilka lat potem, pogodniej już było w duszy poety i w jego domu — jak o tem pisze W. hr. Baworowski, który w r, 1853 odwidził poetę. Mickiewicz przyjął go w swoim pokoju sypialnym. Stół na środku, biurko obok łóżka, nad którem wisiał obraz religijny, nad biurkiem zaś portret Napoleona i Danta. A dalej tak opisuje Mickiewicza.

„Był on średniego wzrostu, twarzy czerstwej i jak na 55 letniego, jeszcze młodej i kwitnącej, lubo miał siwe faworyty i włos siwy na środku głowy rozdzielony spadający ku ramieniom. Oczy miał duże niebieskie, a w nich dziwnie ujmujący wyraz pogody i spokoju ducha, cierpliwej rezygnacji i wyższości umysłowej, to wszystko w połączeniu z jakąś poczciwą żałością i tęsknotą. Postawa lubo nieco sztywna przez zbytne wyprostowanie i jakby wymuszona, miała swoją powagę, okazywała energję i wrażała uszanowanie...." „Zbierając w jedno wszystkie wrażenia od naszego poety odebrane, przychodzi mi oświadczyć, zwłaszcza dla sprostowania błędnych wyobrażeń, że i ja równie uprzedzony, spodziewałem się spotkać zagorzałego mistycznego dziwaka, Towiańczyka, a poznałem naturalnego i uprzejmego człowieka." *)

Nie ulega wątpliwości, że pod koniec życia, otrząsł się poeta zupełnie z mglistego marzycielstwa, wypogodniał, orzeźwił się, rozweselił — ale bo też nadzieje roztaczały się jeszcze dla Polski w oczach Mickiewicza. Napoleon był na tronie — i zajął w obec Rossji groźne stanowisko. To jedno wystarczało, by go rozweselić.

(D. n.)

*) Rozmaitości 1859 Lwów. Mickiewicz Adam str. 363.

Przygody w Indjach

podróżnika

Tomasza Anquetil.

(Ciąg dalszy.)

Ludność zamieszkująca zachodnią gór spadzistość, odznacza się dobrą budową, energją i siłą, w czem jest zbliżoną do pięknej rasy rozsiedlonej na pierwszych wyżynach Himalajów, w północnym Hindostanie. Mieszkańcy wschodniej strony wiotkich kształtów, zniewieściali, apatyczni, mają większą wspólność z typem indochińskim, co pochodzi zapewne z różnicy klimatu i temperatury. Nieuprawne łany Mahoo Thoung, woda zamulona rzeki Khyenduen, jedyna jeszcze którą pić można, powodują febry i puchliny, które to choroby wyłącznie opanowały brzegi tej rzeki, gdy tymczasem suchoty rozpowszechnione w prowincji Pegu są zupełnie nieznane z tej strony. Leży to poniekąd w tem, że źródła tryskające ze skał i liczne strumienie spłukując podnóża gór Mahoo - Thoung, i dążąc przez łąki i wąwozy ku rzece Khyenduen, która je wszystkie przyjmuje, nasycone siarką i arszenikiem w swoim pochodzie przez pokłady mineralne, obfitujące w te pierwiastki, wydzielają je następnie, chroniąc od chorób płucowych, pomimo że brak schronienia i dostatecznej odzieży w czasie pór dżdżystych, noce bardzo chłodne i wilgoć, samo nawet pożywienie ludności, sprzyja niezmiernie rozwinięciu tej choroby.

Wnętrza skaliste środkowego łańcucha gór Mahoo-Thoung nigdy nie były jeszcze należycie badane, ale boczne ściany, pochyłości i wąwozy zawierają złoto, ołów, cynę, siarkę, antymonium, arszenik, nikel, kobalt, bismut, miedź, srebro i złoto, wszystkie więc minerały, których wydobycie sowicie by się opłaciło. Na różnych punktach napotkać można nagromadzone skały, w których przeważnie znajdują się granit i porfir. Rozbiwszy bryłę, kolor blado-żółty albo żółtozielonawy krystalizacji wewnętrznych, zwiastuje elektrum, czyli związek złota i srebra zmięszany z arszenianemi i siarczykiem. Również grunt napływowy, czy to gliniasty, piaszczysty, czy żwirowaty, zawiera cząstki złota. Kruszec ten, mimo żył obfitych, nie jest eksploatowany, przemysł krajowców nie doszedł do tego stopnia, by rozbijać skały i miażdżyć minerały. Pozostaje im tylko płukanie piasku złotego. Ta robota uskutecznia się zwykle w czasie przeplatanych dni pogodnych i deszczów, które poprzedzają porę zimową, następnie po zejściu wód i po każdej gwałtownej burzy; przyrząd ich do tej czynności jest nader prosty, składa się bowiem z rzeszot oznaczonych numerami. Starałem się, ale napróżno przekonać krajowców, że głębsze warstwy piasku, zawierają dużo więcej złota, które przez swoją ciężkość zsuwa się na dół. Oni wciąż szukają go na powierzchni, bo to mniej zadaje trudu. Drogie kamienie, jak agaty, topazy, granaty, szmaragdy, rubiny, ametysty, pomięszane z bryłkami złota, są tu małem wynagrodzeniem za febry, dysenterje i wodne puchliny. Jeden młody człowiek w moich oczach znalazł piękny opal, który mi za 4 rupie (10 franków) sprzedał; na drugi dzień położył się biedak i już więcej nie wstał.

Minąwszy Agoong, dostaliśmy się do miejscowości, której nazwy nie pomnę, położonej w pobliżu znacznych pokładów mineralnych. Wiedząc, że zabawię tu dni kilka, prosiłem dowódzcę, by mi wyszukał stosowne mieszkanie, co też uczynił oddając mi w tymczasowe posiadanie wcale ładny domek bambusowy, okolony drzewami. Drugiego dnia zakwaterowania się w mojem nowem mieszkaniu, nad samym wieczorem, kiedy z wielkim apetytem zajadałem ostatnie kawałki potrawki z drobiu, jaką mnie Józef uraczył, przyszło do mnie kilka kobiet miejscowych w odwidziny. Kazałem im podać kawy, a że nie znały tego napoju, z niejakiem wahaniem brały się do kosztowania. Po pierwszych jednak łyżeczkach ozwały

się chórem wykrzykników, znajdując ją wyborną. W zamian obdarzyły mię herbatą, która smakiem i zapachem różni się wprawdzie od chińskiej, nie mniej jednak posiada te same własności z tą chyba różnicą, że nie jest tak rozpalającą. Zbiór jej uskutecznia się w ten sposób: liście suszą na słońcu między dwoma płótnami, poczem je polewają i w tym stanie wilgoci tłoczą, urabiając z nich gałki wielkości dużej pomarańczy. Biorąc na użycie, odłamuje się końcem noża stosowny kawałek i wrzuca do wody gorącej, która naciąga. Smak tej herbaty jest trochę dziwny, można się atoli do niej przyzwyczaić.

Między odwidzającemi mię kobietami, niektóre sądząc po ich cerze, musiały być chore, szczególniej jedna zdawała mi się niewątpliwie cierpieć na wodną puchlinę. Rozmawiając z niemi, posiłkowałem się erudycją Józefa, który w takich razach służył mi za tłumacza. Naturalnie historja o wężu nie została zapomniana; był to temat ulubiony Józefa, który z wrodzoną sobie fanfaronadą, nie zaniedbywał popisywać się, jeżeli już nie swemi czynami, to przynajmniej mojem powodzeniem na polowaniach. Kobieta cierpiąca wodną puchlinę, do tej chwili obojętna na toczącą się rozmowę, ożywiła się gdy wspomniano o wężu *naja*, i z wielkiem zainteresowaniem zaczęła oglądać jego skórę. W tej samej chwili cichaczem wsunął się do pokoju Sidouhe, przyjaciel czarny Józefa, i byłoż to złudzenie z mej strony, ale zdało mi się dostrzegać pewne spojrzenia porozumiewające między nim a chorą kobietą; udałem, że nic nie widzę.

Goście moi rozeszli się, a tymczasem i noc zapadła. Wkrótce sen mnie zmożył, i już na dobre drzemałem, gdy jakiś szelest zwrócił moją uwagę; budzę się i sięgam po zapałki. W tym samym czasie podłoga układana z desek, zatrzeszczała pod mojem posłaniem i jednocześnie stuknął przedmiot upadający na ziemię. Wykrzyknik niezadowolenia wyrwał mi się z piersi, chwytam za rewolwer, i słyszę pospieszne kroki uciekającej osoby... Widocznie chciano mię okraść, ale na co tak polowano?

Zapaliwszy światło, zabrałem się przeszukiwać kąty pokoju; nic nie brakowało, wszystko było na dawnem miejscu, oprócz skóry węża; zamiast wisieć na ścianie, leżała rozciągnięta na podłodze. Podniosłem koniec rogoży zaścielającej pokój, i pod nią ujrzałem deski odchylone, właśnie w miejscu po nad którem wisiała skóra. A więc to był przedmiot życzeń mojego nocnego gościa, który jak widać znał dokładnie rozkład domu i wewnętrzne urządzenie, gdyż bez wahania zakradł się pod podłogę, która na pięć do sześciu stóp po nad ziemią była położona na rusztowaniu tworzącem pod domem rodzaj obszernego lamusu. Poruszenie moje i wykrzyknik zastraszyły złodzieja, a chociaż mogłem strzelić mierząc w stronę słyszanych kroków, bałem się rzucić fałszywy alarm i poprzestałem na zbudzeniu moich służących.

Na drugi dzień rano siedziałem przy śniadaniu kiedy nadeszła moja chora. Za nią trzymając spory kosz, zjawił się służący. Zdawała się bardzo zaambarasowaną, i po pierwszych ukłonach, prosiła mię, czy bym nie zechciał wymienić skóry węża za przedmioty przyniesione w kobiałce. Zapytałem ją dla czego pragnie posiadać tę skórę. Jest to — odpowiedziała mi — pewny środek przeciwko wodnej puchlinie, i dotknięte tą słabością osoby, jeżeli są w możności dostania wierzchniej powłoki węża *naja*, mogą być pewne wyzdrowienia. Miałem więc rozwiązanie zagadki... Zastosowanie lekarstwa — ciągnęła dalej — jest bardzo proste, obwiązuje się skórą niby pasem, używa się przez czas jakiś środków przeczyszczających i wywołujących poty, a w przeciągu piętnastu dni puchlina znika. Skończywszy opowiadanie roztworzyła koszyk i ujrzałem z tuzin jaj mniej dużych niż strusie, ale kończastych i koloru ciemno-zielonego. Od jakiego ptaka pochodziły? Nie wiedziałem. Mój zapas słów birmańskich nie mógł mi w tej okoliczności posłużyć; Józef z tego języka znał tylko potoczne wyrazy, i nie był zdolny poprowadzić dłuższej rozmowy, tem mniej mógł zrozumieć mięszane narzecze jakiem się posługiwała chora kobieta. Kazałem mu dowiedzieć się, czy ptak ten przebywa w tych stronach; z opowiadania bezwątpienia przekształconego przez Józefa powziąłem dziwne o nim wyobrażenie: takiego gatunku nie znałem jeszcze, ani o nim słyszałem. Kobieta ofiarowała się z wielką gotowością przysłużenia mi się w tym względzie, obiecując na jutro przygotować łódź, którąby mię przewiozła na drugą stronę rzeki, do siedziby ptaków, i zająć się zebraniem obławy.

Zaciekawiony przyjąłem grzeczność, wręczając jej wynagrodzenie dla wioślarzy i obławników, poczem wymieniłem skórę węża za jaja ku wielkiemu niezadowoleniu Józefa, a radości chorej kobiety.

Na drugi dzień skoro świt, Józef oznajmił mi, że przewodnik czeka, a wioślarze i obławnicy od godziny już naprzód wysłani. Przebyliśmy wkrótce rzekę, z tamtąd mieliśmy jeszcze przed sobą trzy mile birmańskie odpowiadające mniej więcej ośmiu kilometrom. Pierwszy raz wtenczas ujrzałem pola zasiane osobliwszym ryżem, który nie potrzebuje nawodnienia, zkąd jego nazwa ryż „suchy.“ Rodzaj ten zasiewają na gruntach bardzo żyźnych, na świeżo wykorczowanych wzgórzach lub u podnóża gór, i jest tem cenniejszy, że jego łany nie powodują szkodliwych wyziewów sprowadzających uporczywe febry. Przestrzeń trzy milową minęliśmy szybko i stanęliśmy na brzegu pustyni. Ze zdziwieniem spojrzałem na ten niezmierzony okiem pas piaszczysty z dwóch stron odgraniczony lasami i bujnemi zaroślami, nie szerszy nad cztery mile, ginący gdzieś w niedojrzanej dali. Czemu przypisać ten przypadkowy kaprys natury? Geologowie niech orzekną.

Przewodnik rozstawił nas nad samym krańcem piaszczystego stepu zalecając, byśmy ukryci w trawie za drzewami, nie strzelali wprzód, nim ptaki będą w pobliżu; poczem zatknął w piasek trzcinę bambusową z czerwonym gałganem, i rozciągnął się obok mnie na ziemi. Nie długo wzniósł się w dali tuman kurzawy i najdziwaczniejsze głosy doleciały naszych uszu. Ludzi można było wziąć za małpy, tak dobrze imitowali ich skoki i krzyki, a ptaki z odległości wyglądały fantastycznie niby skrzydlate dragony stawiane na straży świątyń i pagód. To biegnąc, to znów podlatując i bijąc skrzydłami, wydawały chrypliwe głosy, żałosne piski i nogami wzbijały piasek w koło siebie, mknąc z niesłychaną szybkością po tej ruchomej powierzchni. Było ich do trzydzieści sztuk, biegnących wprost na nas, bez najmniejszej trwogi; obławnicy nie mogąc dotrzymać im kroku zostawali w tyle. Przyznam się nie miałem dość zimnej krwi, by w ukryciu cierpliwie czekać na zbliżające się z ufnością ku nam ptaki. Na sto metrów wypaliłem moje dwa strzały sztucerowe; jeden z nich dobiegł przeznaczenia utrąciwszy skrzydło, drugi zaginął w piasku. Ugodzony ptak daremnie usiłował pędzić dalej, upadł na ziemię i został dobity pałkami.

Wystrzał podwójny spowodował właśnie popłoch, którego usiłował uniknąć nasz przewodnik, gdy prosił byśmy przedwcześnie nie strzelali. Przestraszone ptaki zrozumiawszy, iż lecą na swoją zgubę, odwróciły się i z podwojoną szybkością zaczęły uciekać. Większa część zdołała przedrzeć się przez linję obławników, niektóre uleciały bokiem, ze dwanaście tylko sztuk zbite razem, zmuszone były pomykać na przód. O pięćdziesiąt kroków ubiłem jednego w biegu, drugiego dosięgnąłem grubym śrutem, gdy się wznosił po nad ziemią i ugodzony spadał zwolna podtrzymywany rozpiętemi skrzydłami. Zaledwie każden z nas wysłał po dwa strzały, ptaki dobiegły lasu ginąc w gąszczu przed naszem okiem.

Józef ucieszony widokiem, jak tak olbrzymia zwierzyna pada pod jego strzałem, rzucił się nierozważnie na ptaka; ten nie był zabity i bronił się zaciekle wydając przeraźliwe kwiki. Mój murzyn wyszedł trochę poturbowany z tej bitki, odzież na nim wisiała w strzępach, podarta silnemi pazurami, ręce miał zakrwawione, a potężne uderzenie skrzydła o głowę pozbawiło go niemal przytomności. Desire mniej szczęśliwy w celnych strzałach, pałką wywijał znakomicie, zresztą sępy przy zabitych słoniach nauczyły go roztropności, której na ten raz nie zaniechał i w kilku obrotach dobił rzucające się ptaki. Zbliżywszy się do trupów, poznałem z rozczarowaniem kazoara z hełmem, którego widziałem już w Jardin-des-Plantes. Jaj jego tylko nie znałem, a opowiadanie chorej kobiety bezwątpienia przekształcone przez Józefa, dało mi do myślenia, żem trafił na jakiegoś szczególnego ptaka, który miał wzbudzić podziw naturalistów!

Kazoar ohełmiony, jest mniejszy od strusia, ale więcej krępy, szyję i nogi ma krótsze, lecz za to siła jego jest większą. Głowa ustrojona wydatnym narostem z plamami czerwonemi i niebieskiemi, które rozsiane do połowy szyi robią go bardzo podobnym do jędora. Gdyby ogon jego zamiast zwieszać się kiciasto mógł się roztoczyć, te dwa ptaki prócz różnicy wielkości i barwy miałyby ten sam zakrój i postawę.

Była zaledwie dziewiąta godzina, a już duszący upał zapanował nad tym piaszczystym łanem, powodowany odbiciem słońca o ściany gór Mahoo-Thoung. Zebraliśmy jeszcze kilka jaj po drodze i każden pospieszył co prędzej do domu.

(C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

VIII.

Gdy po kilku dniach, pani Hermina całkiem zdrowa wyjeżdżała do domu z wujaszkiem, który przez cały ten czas na krok jej nie odstąpił, panna Marjanna całując hrabinę w rękę, prosiła o pozwolenie odwidzenia matki, która miała być chora. Hermina chętnie pozwoliła.

Przyjechawszy do Wolicy, panna Marjanna wbiegła bez tchu do pokoju matki, która na szczęście była zdrową jak ryba, i w słowach urywanych opowiedziała jej swoje spostrzeżenia, poczynione w Romanówce. Pani Pędracka poszła z tem do majorowej; ta wysłuchawszy, kazała zawołać pannę Marjannę, aby z jej własnych ust wszystko usłyszeć.

Podczas opowiadania, pani Zawilska zachowała się dosyć spokojnie, udając, że przyniesione wiadomości nie zrobiły na niej głębszego wrażenia — ale gdy klucznica odeszła z córką, natychmiast otworzyła okno do ogrodu, chociaż na dworze był już chłód jesienny, i o ile pozwoliła na to jej tusza, zaczęła biegać po pokoju ciągle powtarzając:

— Nareszcie... nareszcie... Spodziewałam się tego... O, ta gadzina!

Gdy te słowa wymawiała, w oczach i na całej twarzy malowało się uczucie, jakie w nas wywołuje zaspokojenie miłości własnej.

Wyjęła kartkę papieru, ciężką ręką napisała słów kilka, a zapieczętowawszy posłała list Walentemu z rozkazem, by natychmiast pojechał po „młodszą panią.“ Następnie przywoławszy Pędracką szepnęła jej do ucha by jak najprędzej rozgłosiła między służbą, że „jaśnie pani“ zachorowała. Po spełnieniu tego dzieła, usiadła na sofie, a obwiązawszy sobie głowę białą chustką, obstawiła się najrozmaitszemi flakonikami, i niby rzeczywiście chora czekała przyjazdu córki.

Tonia w nieobecności męża, który wyszedł na gumno, kończyła list do ojca rozpoczęty przed kilku dniami, gdy przed ganek zajechał Walenty z próżnym powozem. Przestraszona puściła z rąk pióro i sama na dwór wybiegła.

— Walenty, co to?... Gdzie pani?

— Jaśnie pani nie ma, powiadają że chora... Ale jest list.

— Mój Boże, chora! — Rozerwała kuwertę. — Chora! Nowe nieszczęście!

Posłała po męża; gdy ten przyszedł, powierzyła dziecko jego opiece, a ubrawszy się kazała Walentemu jechać jak najprędzej.

Tonia sama nie wiedziała, dla czego źródło jej siły dotąd się nie wyczerpało. Tyle gwałtownych wrażeń doznała w czasie stosunkowo tak krótkim, że każda inna na jej miejscu, byłaby uległa. A ona jeszcze się nie poddała, chociaż od dziecka lekarze nazywali ją wątłą, rodzice i znajomi słabą. Snać w boleści trzeba szukać u każdej niecodziennej kobiety źródła jej siły.

Jakież atoli było zdziwienie córki, gdy wszedłszy w największej trwodze do pokoju matki, ujrzała ją nie w łóżku, ale tuż przed sobą, a na szyi swojej uczuła jej pulchne ramiona.

— Mateczko! — zawołała głosem, w którym radość mięszała się ze zdziwieniem. — Mnie tak przestraszyli!

— O córko, moja córko nieszczęśliwa! — jęknęła pani Zawilska gorzkiemi zalewając się łzami — jam chora, bardzo chora, ale zwlekłam się aby ciebie pocieszyć. O biedna moja córko! Biedne moje dziecko!

— Mamo, co to jest, dlaczego mam być nieszczęśliwą?

— Toniu, Toniu najukochańsza, pociecho mojej starości, jam to wszystko przewidywała! Ale ty wiesz, że pragnąc twego szczęśca, byłam przeciwną, ty wiesz że nie jam winna!

— Mamo! na miłość Boską jaśniej się wytłumacz, bo mnie to przeraża.

— Biedne dziecko, ty nic nie wiesz... nie domyślasz się nawet... ale ja wiem wszystko, wszystko!

Pani majorowa otarła łzy gorące, wzięła córkę za rękę i posadziła obok siebie. Już chciała mówić, lecz wzbrane uczucie w piersi macierzyńskiej żądało nowych łez, nowych uścisków. Nareszcie gdy się uspokoił i ten drugi wybuch, zaczęła córce opowiadać, że Edmund ją zdradza, że szaleje za tą zalotnicą hrabiną, że o tem mówi cała okolica, i że ona, matka, uważa za najświętszy swój obowiązek przestrzedz o tem córkę, by co prędzej tak postąpiła, jak każda zacna żona postąpić powinna.

Tonia słuchała nie przerywając — a była bladą jak nigdy jeszcze. Gdy matka mówić przestała, odrzekła ustami drżącemi:

— Ja to wiem... oddawna.

— Wiesz, wiesz Toniu, i dotąd go nie porzuciłaś?

— I nie porzucę dobrowolnie, chyba że tego sam zażąda.

— Toniu, córko moja, co ty mówisz! Więc znosisz taką hańbę, taki wstyd, i nawet się nie rumienisz?!

— Moja matko droga, ja się dopiero teraz wstydzę, odkąd wiem, że tajemnica mego domu stała się głośną.

Majorowa ręce załamała.

— Na rany boskie, Toniu, ja ciebie nie poznaję! Zdawało mi się zawsze, że masz ambicję, a tymczasem widzę, żeś ją już straciła!

— Przepraszam cię mamo — odparła córka, poważnie oczy podnosząc — ale sąd twój jest niesprawiedliwy. Właśnie dla tego, że mam ambicję, że wiem jakie na mnie ciężą obowiazki, milczę, przed nikim się nie skarżąc. Moja mamo, — ciągnęła coraz spokojniej — Edmund ożenił się ze mną, bo tego pragnął mój ojciec, który mnie chciał widzieć szczęśliwą. Przed rokiem gdy jeszcze byłam tak szczęśliwą, Edmund opowiedział mi to żartując... Otóż ojciec chciał, a Edmund wierzył, że w tym związku i on znajdzie szczęście.

— Nie! nie! — przerwała matka — on już wtedy ciebie oszukiwał, on już wtedy kłamał.

— Przeciwnie mamo, on wtedy wierzył, a dziś także nie kłamie... Serce kobiety kochającej nie zawodzi, i moje mi mówi, że w pierwszych dwóch latach naszego pożycia, Edmund kochał mnie prawdziwie. Jeżeli ostatniemi czasy zmienił się, jeżeli tęskni do innej, to znakiem, że tamta zasługuje na miłość więcej jak ja... Moja mamo, jakie ja mam prawo zagradzać mu drogę do szczęścia, jakiem prawem mogę go przykuwać do siebie, gdy on się na mnie zawiódł?

Zapytanie córki było zbyt filozoficznem dla umysłu matki.

— Jakiem prawem? Tem, że jesteś jego żoną, a on twoim mężem.

— Prawo to zbyt małe, moja matko droga. Mąż i żona to wyrazy próżne, bez wartości, jeśli po za niemi, jak po za formą, nie ukrywa się treść serca całego.

Tonia mówiła zbyt rozumnie by pani majorowa mogła dłużej słuchać nieprzystępnych dla siebie argumentów.

— Toniu! córko! — zawołała, tu nie ma innej rady, ty go musisz porzucić, bo inaczej ja umrę!

— Ani ty mamo nie umrzesz, ani ja go nie porzucę. Nie porzucę, bo jestem jego żoną i matką jego dziecka. Porzucić to rzecz najłatwiejsza ale wytrwać... Może to u niego tylko obłęd chwilowy, może to namiętność, która minie... A może właśnie moja obecność wprowadzi go na inną drogę, może moje modlitwy ocalą go i dla nas zachowają... Wytrwam więc moja matko, wytrwam, choćby mi miało serce pęknąć!

Pani Zawilska sięgnęła po ostatni pocisk.

— Córko! — rzekła — cały świat mówi że ta hrabina nie jest wdową, że rozwodzi się dopiero teraz dla twojego męża.

Biedna kobieta drgnęła i kurczowo uchwyciła się rogu sofy aby nie upaść na ziemię.

— Rozwodzi się... dla niego? — szepnęła — nie moja mamo, ja w to nie wierzę... Hermina jest może zalotną, jak z jej temperamentem każda kobieta młoda i piękna, lecz nie dostrzegłam, by rozmyślnie bałamuciła Edmunda. On sam się bałamucił.

— Widzisz, widzisz, jaki on nikczemny! — krzyknęła pani majorowa tym głosem donośnym, który strachem przejmował wszystkich domowników w Wolicy — widzisz, jaki on zdrajca! Gdyby go bałamuciła, możnaby go jeszcze usprawiedliwić, ale jeżeli dobrowolnie szaleje, to nikczemnie! nikczemnie! Jam zawsze mówiła że to gadzina!

Tonia powstała i okiem pełnem godności spojrzała na matkę.

— Mama obraża mego męża i tem samem mnie rani — odpowiedziała poważnie, — bo sąd o nim należy tylko do mnie i do Boga. Przebacz mi mamo że ośmielam się mówić tak otwarcie, ale cierpiąc nauczyłam się odwagi... A teraz żegnam mamę, bo już czas do domu.

— Nie, nie pojedziesz, ja ciebie nie puszczę! Nie dam ci koni, musisz tu zostać!

— W takim razie pójdę pieszo.

— Córko wyrodna, ja ciebie wydziedziczę, ja ciebie na próg mego domu nie puszczę! Ty mnie do grobu wtrącisz.

Tonia nic już nie rzekła. Ucałowawszy matkę w rękę, która z gniewu odchodząc od przytomności ręki nie cofnęła — wyszła na ganek ścigana złorzeczeniami. Przed gankiem stał na szczęście ekwipaż, bo Walentemu nikt nie kazał wyprządz.

Gdy już daleko była za bramą, cofnęła się w głąb powozu, i dopiero teraz puściły się jej z oczu łzy ciche a gorące.

Po odjeździe córki majorowa w rzeczy samej rozchorowała się na ból głowy, tak, że pani Pędracka musiała razem z Julcią całą noc zmieniać jej okłady.

Podczas rozmowy matki z córką, Edmund przechadzał się po swoim pokoju krokiem tak przyspieszonym, gorączkowym, jakby przeczuwał bliską katastrofę. Już od dłuższego czasu rozumiał, że we własnym domu był obcym; niby gościem, który zawitawszy do dalszych znajomych po dłuższej niebytności nie wie co z sobą począć. Dawniej było mu tu tak dobrze, tak swojsko — dziś wszystko go niepokoiło, dziś rzecz najmniejsza ścigała go wyrzutami. Obawy jego wzmogły się od owej nocy, gdy Tonia zastała go we drzwiach sypialni wpatrującego się w uspioną Herminę. — Czy ona się domyśla? — pytał się w duchu i zaraz usiłował uspokoić się uwagą:

— Nie! to nie możebne! Wiedząc, nie mogłaby się tak zachować...

Pojmując całą błędność swojego postępowania, chciał wspomnienie wydrzeć z pamięci, pragnął nie myśleć o pięknej amazonce — ale nie mógł. I przypomniał sobie, jak w dniu powrotu z zagranicy podał jej rękę, jak jej drobna nóżka, ku wielkiemu zgorszeniu matron na ganku

stojących, stanęła na stopniu powozu, jak z nim swobodnie potem rozmawiała, i jak mu rzucała spojrzenia! A jakie spojrzenia! Jedno z nich mogłoby stopić żelazo, cóż dopiero człowieka!

I przypomniał sobie, że później całe dwa lata był niby szczęśliwym... *niby* bo teraz widzi, że to szczęście musiało być sztucznem, nie naturalnem, albowiem dziś nie jest szczęśliwym. Widocznie dla tego tylko był pozornie szczęśliwym, że w owych dwóch latach Herminę widywał bardzo rzadko. Ona wtedy wyjeżdżała często do stolicy, i prawie rok cały spędziła na Litwie. Za to gdy wróciwszy, częściej zaczęła do Romanówki przyjeżdżać, przekonała Edmunda, że jego szczęście było obłędem...

I przypomniał sobie jej żarty, uśmiechy, słówka dające tak wiele do myślenia, i tę przejażdżkę konną wśród nocy księżycowej, i ten wypadek w lesie — i to smutne polowanie, i tę chwilę pełną czaru, gdy ją widział uspioną...

— Ach! ja ją kocham — zawołał — ja ją kocham! Ja tylko z nią jedną mogę być szczęśliwym!

Przestraszył się słów własnych — obejrzał się w koło. Na szczęście w pokoju nikogo nie było.

Może rozum powinien mu był teraz podsunąć inne pytanie: Czy i ona ciebie kocha? Nie przypominasz sobie tych uwag, któremi od czasu do czasu oblewała cię jak zimną wodą? A jeżli cię kocha, co potem?

Takie a nie inne byłby mu rozum zadał pytania, gdyby Edmund mógł był teraz myśleć rozumnie. Namiętność jednak jest potężniejszą od rozumu — i w chwili gdy się do niego ucieka, przestaje być prawdziwą namiętnością.

Co miał począć? Potrzebował zobaczyć ją, pomówić z nią jak najprędzej, wyspowiadać się ze swych uczuć, może nawet poskarżyć na los, na świat, na wszystkich byle nie na siebie! I pragnienia jego wzmagały się odkąd zaczął podejrzywać, że Tonia może w rzeczy samej domyśla się jego tajemnicy. Odtrącał to przypuszczenie, lecz jak uporczywie ono wracało! Jeżeli się domyśla, potrzeba jej zejść z oczu, potrzeba zwierzyć się tamtej, aby z tą tem łatwiej podjąć walkę.

— I podejmiesz? — zapytało go sumienie zimne, a nieubłagane, jak odwieczna sprawiedliwość.

Wzdrygnął się — spojrzał w zwierciadło — przeląkł się własnej twarzy. Tak był bladym!

Bezwiednie przeszedł pokój jeden, drugi, i znalazł się w sypialni żony. Tu nikogo nie zastał. Niańka wziąwszy dziecko, poszła na pogadankę do garderoby, z kąd dolatywały śmiechy wesołe.

Edmund stał patrząc w koło. Wszędzie panował porządek, wszędzie było czuć troskliwą rękę kobiety. Tylko na biurku leżały porozrzucane papiery. Jeszcze stał, jeszcze patrzył i łza zakręciła mu się w oku... Czemu płakał?

Mimo woli zbliżył się do biurka; na niem ujrzał papier kobiecą ręką zapisany. Był to list, którego Tonia niedokończyła, bo przez okno postrzegła zajeżdżające konie z Wolicy. Wziąwszy list zaczął czytać. Snać pisała go ręką drżącą, bo litery były niewyraźne, a wątek rwał się niejednokrotnie. Czytał z czołem zmarszczonem i okiem chmurnem, a potem musiał znaleźć jakiś ważny ustęp, gdyż po dwakroć wracał na jedno miejsce. Bardziej pobladł i rękę przyłożył do czoła. Co znalazł?... — Kochany ojczulku — pisała Tonia w tem miejscu — wracaj do nas jak najprędzej, bo mi ciebie bardzo, bardzo potrzeba! O tylu rzeczach chciałabym z Tobą pomówić, których nie można listowi powierzyć, z tylu obaw pragnę wynurzyć się przed Tobą, że długo, bardzo długo będziesz musiał słuchać córki zrozpaczonej. Ale to ty ojczulku tak ją rozpieściłeś, bo dziś nikt jej nie popieści... Lecz ja się nie skarżę ojczulku, nie... jam szczęśliwa, bardzo nawet szczęśliwa, i to mnie tylko dziwi, że gdy jestem sama, bezustannie na płacz mi się zbiera. Przezwyciężam się jednak, i łzy w sercu tłumię, bo Edmund łez nie lubi... — Mąż Toni przeczytał, puścił papier, na czoło zimny pot mu wystąpił— i dłużej się nie łudził. Żona wszystkiego się domyślała.

Zawsze pokazywała mu swoje listy pisywane do ojca, aby i on kilka wierszy dodał, ten zaś pisała w ukryciu, i ani mu o nim wspomniała. W każdym z dotychczasowych mówiła o swojem szczęściu, w tym wmawiała w siebie i w ojca że jest szczęśliwą. W żadnym nie było dotąd wzmianki o obawach, których bliżej nie określiła, w żadnym nie wspominała by Edmund czego nie lubił.

Edmund zatoczył się jakby przytomność utracił... w myśli zrobiło mu się jasno, — w duszy ciemno.

— Więc ona wie, a wiedząc na wszystko pozwalała i najmniejszego nie zrobiła mi wyrzutu! Więc patrzy jak namiętność wzmaga się we mnie— a pozwala by mnie całego ogarnęła! Więc chociaż jest moją żoną, nie przeszkadza mi szaleć za inną!... Ach, tak nie postępuje kobieta kochająca, obojętną może być żona tylko dla męża, który jej nie obchodzi... Nie! nie! ona mnie nie kocha!

Oto dokąd go zawiodło rozumowanie pod wpływem namiętności. Naturalnem jego następstwem było oskarżenie żony a usprawiedliwienie siebie. Oskarżał ją o obojętność, chłód, nawet o obłudę, a w siebie wmawiał, że jest niewinnym, gdyż obok takiej kobiety prędzej lub później musiałby zatęsknić do innej. Uchwyciwszy się oburącz tej myśli, zaśmiał się ironicznie, i rzuciwszy raz jeszcze okiem na list fatalny, wyszedł z głową dumnie podniesioną, jak ten, kto cierpi niesprawiedliwie.

Może po przeczytaniu listu żony, Edmund powinien był poznać swój błąd, rzucić się do nóg Toni i błagać ją o przebaczenie. O ileż piękniej świadczyłoby to o jego charakterze! Ale cóż my temu winni, że życie, to nie książka... Cóż my winni, że z wielkiej namiętności, choćby jej źródło znajdowało się w samej tylko krwi, człowiek nie leczy się wtedy, gdy tego autor żąda?

Edmund nie wyleczył się z niej teraz — owszem w niej jednej szukał ratunku dla siebie, a broni przeciwko żonie, którą chciał uważać za jedyną winowajczynię, i jeżeli kiedy to w tej chwili gotów był uczynić krok stanowczy. I nieodzownie potrzebował go uczynić. Jakkolwiek we własnem przekonaniu sam był tak nieszczęśliwym, a Tonia tak występną, bał się ją zobaczyć... A tymczasem w oddali widział Herminę piękną, odważną, pełną energji, szlachetną, zdolną do poświęceń — anioła! Krew zagrała mu w żyłach.

Szybko napisał bilet, nieprzeczytawszy zapieczętował, i kazał Grzesia zawołać.

— Słuchaj Grzesiu! — rzekł do chłopca — pojedziesz z tym listem do Warnowiec, i oddasz pani hrabinie, rozumiesz? Samej pani hrabinie.

— Rozumiem... proszę jaśnie pana, będzie jaka odpowiedź?

— Zapewne... lecz może pani hrabina każe mi tylko co ustnie powiedzieć... w takim razie nie zapomnij... i przyjdź do Dąbrówki, tam mnie zastaniesz.

— Do Dąbrówki? Kiedy jaśnie pani jeszcze nie wróciła z Wolicy.

— Grzesiu! Jedź mi natychmiast i wracaj na jednej nodze.

Chłopiec wyszedł mrucząc coś do siebie, a gdy wyjechał przez bramę, Edmund poszedł do syna, ucałował go po kilkakroć, a rozkazawszy niańce, by dziecka z oka nie spuszczała, siadł na wózek stojący przed gankiem. Woźnica chciał ruszyć, lecz Edmund jeszcze go zatrzymał. Możnaż zostawić dziecko na łasce sług? Oto, co mu odjechać nie pozwoliło. Już chciał wysiąść i poczekać do przyjazdu żony, gdy na pagórku ujrzał czwórkę Walentego. Bojąc się spotkać z Tonią, kazał woźnicy objechać zabudowania gospodarskie i drogami polnemi dobić się do szosy.

Pędził nie oglądając się, jak zbrodniarz, gdy ucieka z miejsca zbrodni.

(C. d. n.)

Racławice.

Racławice! Racławice!
Okrzyk bieży w dal...
Rzućmy żony i dziewice
I niewczesny żal!

Weźmy kosy — weźmy piki
Wolność — albo skon!
Bieżą echem te okrzyki
Od pługów i bron.

Czas już zrzucić srogie pęta
W gnieździe naszem wróg,
Lećmy śmiało jak orlęta,
Niech nas wiedzie Bóg!

Walka będzie tak zaciekłą
Że aż zadrży świat!
Że się zdziwi niebo, piekło,
Ludzie przyszłych lat!

Każde serce żywo bije,
Wiej wietrzyku, wiej!
Powiedz światu, Polska żyje!
Żyje w chwale swej!

Racławice! Racławice!
Bieży w dal ten głos..
Płaczą matki i dziewice,
Słychać podźwięk kos.

Starzec syna błogosławi,
Zażegnuje grom;
Matka z cicha oko łzawi,
W smutku cały dom.

Dziewczę żegna się z kochankiem —
Swego szczęścia kłos,
Składa dzisiaj z ślubnym wiankiem
Na ofiarny stos!

Biegnie młodzież na plac boju
Po sławę i mir,
A kraj cały w niepokoju
Przywdział smutku kir!

Już pobiegli — już ich nie ma
Cisza — ból i łzy,
Tylko ziemia ich rodzima
Głuchem echem drży!

Wenecja 1876 r.

Janina z Z... Ł.

Obrazy z Ameryki.

F. GERSTAECKERA.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem i mały Francuz, towarzysz nieszczęśliwej tej pani, biegał z kąta w kąt skłopotany szukając z śmiertelną obawą swojego prezerweru. Bo nie istne to nieszczęście? W chwili gdy cała pożyteczność tego przyrządu służyć mu miała — i złożyć dowody swej wartości — w tej krytycznej chwili gdzieś się zapodział — choć go umyślnie powiesił był nad swojem łóżkiem, ażeby w danym razie mieć go pod ręką. Nagle przypadkiem popatrzył na Bleomfielda i ku największemu swemu zadziwieniu ujrzał na nim swojego „wybawcę“ — ale także nienadętego. Opasawszy się próżnym przyrządem Mr. Bl. sądził się już bezpiecznym, i spokojnie i niby odważne losowi stawiąc czoło — kroczył po kajucie.

— A pan jakiem prawem zabrałeś mego prezerwera Yar? — wołał oburzony Francuz. Na toż to wydałem tyle pieniędzy w Nouvelle Orleans żebyś pan mógł ratować swoje życie?—

— Ależ kochany panie — daruj... nie wiedziałem doprawdy... sądziłem że.. jąkał Bloomfield który widząc wspomniany artykuł wiszący w zajmowanej wspólnie z Francuzem sypialni sądził, że należy do inwentarza okrętowego dla pożytku pasażerów, i wziął go sobie.

— I nawet nie nadąłeś go pan — przerwał mu już ze śmiechem zgorszony właściciel cennego instrumentu — mniemasz więc, że ten przyrząd nie nadęty powietrzem utrzymałby pana nad wodą?

— Ach — dla tego to pani krzyczała w niebogłosy — żeby ją kto nadął?

— Bój się Boga człecze — nie wspominaj tego — wtrącił niby poważnie Simmons, który w tej chwili wszedł z Grayem do kajuty. Nie wspominaj pan o tej damie, jeśli ci życie moje i całość moich arteryj choćby tylko centa warte... ot lepiej chodźmy i wypijmy po „kropelce“ — ciągnął zmierzając ku bufetowi — gdzie właściciel pilnie był zajęty sprzątnieniem spustoszenia, zrządzonego między flaszkami i naczyniem szklannem w skutek gwałtownego wstrząśnienia statku; — chodźcie tu wszyscy, bo każdy potrzebuje zakropić się bodaj jednym łykiem, by przywrócić sobie równowagę w organizmie... Ja wypiję brandy z cukrem.

Gdy się to dzieje, za pomocą wszystkich majtków i międzypokładowców zsunięto Oceanik z „Mazepy“ i obydwa statki spoczywały obok siebie w zgodzie i przyjaźni wyczekując ustąpienia gęstej mgły.

— Ależ kapitanie Duncas — mówił kapitan Oceanika do kapitana „Mazepy“ gdy obydwaj siedzieli przy szklance ponczu w kajucie pierwszego statku — podczas gdy dozorca z dzwonkiem obchodził wszędzie — zwracając uwagę pasażerów kajutowych — że pomimo wypadku i niebezpieczeństwa objad nie chybi na regularną porę. — Ależ kapitanie, cóż u kata pędziło tak pana z prądem wody — że nie słyszeliśmy ani kół, ani maszyny?

— Ja wprawdzie słyszałem był na chwilę przedtem pędzący naprzeciw nas statek — wtrącił sternik — ale wnet warkot kół ucichł, więc sądziłem, żeście wylądowali.

— Powodem całego zajścia jest jedynie głupota jednego z moich ludzi i tylko nie mogłem dojść jeszcze, który z nich winnym sprawcą... ale to się zrobi później — dodał wesoło kapitan Duncas. — Gdy mgła tak dalece zgęstniała, że słusznie obawiać się było można zetknięcia z drugim parowcem, w dodatku, gdyśmy posłyszeli zbliżający się pański statek, zawołałem niezwłocznie mata i poleciłem mu kotwicę trzymać w pogotowiu; *mate* wydał odpowiednie rozkazy — a moje *deckhand*'y wzięli się z całą gorliwością do ich spełnienia. Więc wynurzono kotwicę, łańcuch, przeciągnięto go przez kółko — a żadnemu z tych psów morskich nie wpadło do głowy, przyczepić do łańcucha kotwicę. Gdym sądził, że wszystko już gotowe, pański parowiec zbliżał się coraz bardziej a mgły gęstniały z każdą chwilą, zawołałem: zrzucić z pokładu kotwicę! — Zaledwie odwróciłem się, aż tu widzę już parę z Oceaniku. Wprawdzie chwyciłem zaraz dzwonek — i kołatałem z całej siły — ale to było już zapóźno i szczęście prawdziwe — że ten konflikt nasz skończył się tak pomyślnie. Widzę że mgły opadają zwolna, więc trzeba mi wyruszyć w dalszą drogę. W Vicksburgu wyląduję, ażeby dać lepszy plaster mojemu Mazepie. A teraz *ade* — kapitanie. *Good bye Gentlemen.* Po tych słowach przeszedł na pokład Mazepy — gotującego się do drogi.

I na Oceaniku pościągano linwy, któremi trzymany był statek do drzew nadbrzeżnych i w chwili gdy towarzystwo kajutowe usiadło do obiadu — maszyna zahuczała, Oceanik płynął dalej.

Przy stole — wbrew zwyczajom amerykańskim — było wesoło i gwarno. Każdy opowiadał swoje przygody i spostrzeżenia komiczne — a reszta wtórowała mu głośnemi śmiechy. Nikt jednak nie przyznawał się do przestrachu i obawy o życie lub mienie — przeciwnie pokazało się, że odwaga i rezygnacja były to wrodzone przymioty wszystkich pasażerów Oceaniku bez wyjątku!

III.

Parowiec nasz przepływał właśnie po przed Stan Luiziana minąwszy granicę Arkanzasu, wspaniałego prześliczną zielonością gęstych i olbrzymich lasów. Po objedzie pasażerowie wyszli na pokład odetchnąć świeżem powietrzem i użyć tyle komocji, ile nam dozwalała stosunkowo mała przestrzeń pokładu.

Nieznacznie odwracał się wiater, gromadząc na widnokręgu czarne wały chmur; wyżej i coraz wyżej, sięgały te fantastyczne góry mgliste i wnet zaciemniły swoim cieniem słońce, napróżno walczące z przemożnym tłumem czarnym, aż w końcu mu uległo, zakryte zupełnie.

Zrazu drobny deszczyk pokropił na pokład orzeźwiająco wszystko po zadusznym upale — wnet jednak wzmógł się i zamienił w silną ulewę, spędzając wszystko co żyło z pokładu.

Sam, ażeby nie próżnować, w braku lepszego zajęcia — zaaranżował rychło partyjkę *eucre*'u, w której tym razem uczestniczył nawet Gray; równie Stewart kolonista z Missouri uległ namowom i grał z Simmonsem przeciw Grayowi i kapitanowi Wilkensowi; Bloomfield zaś usiadł obok Stewarta, częścią by przypatrywać się grze, częścią by kontynować swoje zapytania do *Backwoodsmena* i męczyć go prośbą bezustanną o opisy drobnostek, o których nawet wspominać nie było warto — co zaś uprzejmy Stewart dotychczas znosił z podziwienia godną cierpliwością.

Już kilka razy hałasował Simmons prosząc niedwuznacznie Nowojorczyka, żeby nie przerywał gry co chwila. Atoli ten nieuleczony w swej namiętności, tylko na kilka minut uciszał się, a potem dalej robił swoje. — Przyniósł nawet własną flintę i pokazując ją Stewartowi, pytał go naiwnie o zdanie, czy kula tego kalibru wystarczy do zabicia bawołu.

— Choćby mała kulka, ale zaaplikowana w delikatne miejsce, sprawi to samo co największa i położy bawołu — odparł spokojnie Missouryjczyk — patrząc z dobrodusznym uśmiechem na Bloomfielda, potem zbierając swoje karty i przejrzawszy je pobieżnie rzekł do swojego partnera: Pomagam.

— Jakto, mała kulka? zawołał Bloomfield zdziwiony — mała kulka dla bawołu, Mr. Stewart, et, pan chyba żartujesz.

— Mr. Stewart, życzyłbym sobie, żebyś pan więcej uważał — przerwał Simmons gniewnie, gdy lewy padały szybko, podczas gdy Gray i kapitan uśmiechali się ironicznie; — gdybyś pan był bodaj trochę uważał, ostatnia lewa byłaby niechybnie naszą, a tem samem partją wygraną... przecie mogłeś pan pomyśleć sobie, że gdybym miał jednego atuta więcej — byłbym grał atut.

— Przypuśćmy, że bawół tłusty — wpadł niezbity z tropu Bloomfield — jakżeż w tym razie podobną rzeczą, żeby mała kulka zrobiła mu skutek należyty?

— Pal djabli i wielkie i małe kule — klął zniecierpliwiony Simmons — Spades jest atout— a Mr. Stewart jesteś na ręce.

— Poczekajno Mr. Bloomfield, odwrócił się Stewart flegmatycznie do Nowojorczyka — gdy gra się skończy — a nie potrwa dłużej nad pięć minut, opowiem panu ciekawą historję o moim sztuccu z małym kalibrem.

— A wiele że kul tego kalibru szło na funt? podchwycił Bloomfield.

— Otóż i nasze, i to nasze — wołał Simmons obydwa najwyższe świętne i obydwa walety, wygrywając raz po raz — *Encred by God.* A teraz Mr. Stewart opowiedz temu panu swoje ciekawości — wpierw zaś wypijmy wygraną — którą kapitan płaci — ja proszę brandy z cukrem... a potem zacny nasz Mr. Bloomfield jeśli nie zaprzestaniesz niepokoić nas swojem myślistwem, zadowalając się na dzisiaj usłyszaną historją — to klnę się na honor — że tak urzeknę pański sztuciec — iż ani jedna kulka nie pójdzie tą drogą — jaką wymierzysz sobie.

— Minęło już dwa lata — zaczął Stewart gdy usiedli znowu do zielonego stolika — jak pewnego dnia wziąłem flintę na ramię i puściłem się naokoło moich pól, zamierzając przepędzić trochę wiewiórki, które włócząc się stadami — ogromne mi szkody robiły. Flintę miałem długą, jedną z tych, która ładuje się kulami z 180ciu na funt.

— Z stu osmdziesięciu na funt? — przerwał Bloomfield — no to wierzę że chyba wiewiórkę lub kuropatwę można ubić takim nabojem.

— I ja tak myślałem poprzednio — ciągnął Stewart nie gubiąc wątku swojej opowieści... tem bardziej — gdy podówczas wiewiórki były jedyną dziczyzną w Północnej Karolinie; czasem, czasem, ujrzało się jelenia, a bardzo rzadko i to w miesiącach letnich, przywędrował do nas z gór niedźwiedź w odwidziny...

Dodać muszę — że niedawno przedtem rzeczywiście odkryto w naszej okolicy ślady niedźwiedzia i tropiono starego hultaja. Że zaś dłuższy czas już nie pokazał się był nigdzie,

wszyscy myśleliśmy, że powędrował na Zachód. Co do mnie, prędzej byłbym przypuścił, że nad nami firmament niebieski się zawali — aniżeli że w pobliżu mojego domu ujrzę niedźwiedzia żywego...

—Spodziewam się, że pan przecie nie zechcesz opowiadać nam, iż z sztucca tak małego kalibru ubiłeś niedźwiedzia? przerwał Bloomfield — wszak te kulki nie większe od kaczego śrutu...

— Moje pole przytykało w ten sposób do domu mieszkalnego — ciągnął Stewart, nie zważając na protest Bloomfielda, że południową granicę jego zamykał budynek i mały ogród, trzy zaś inne strony otaczał gęsty i wysoki częstokół.

Noga z nogi szedłem sobie spokojnie wzdłuż zachodniej strony, nie zdybując nigdzie nawet wiewiórki mizernej, potem skręciłem na rogu i poszedłem stroną północną, oglądając się na okół uważnie, nie napotykając jednak choćby jednego śladu jakiejkolwiek zwierzyny. Już zwątpiłem, czy strzelę choćby raz tego dnia, gdy zdążywszy do północno-wschodniego rogu pola zarosłego gęstwiną sasafrasu, przez którą prowadziła wąska ścieżka wydeptana przez krowy, i gdym stanął na tej ścieżce, usłyszałem nagle lekki szelest wśród liści.

Jak powiedziałem wyżej, flintę miałem naładowaną jedynie na wiewiórki i wcale nie przychodziło mi nawet na myśl — bym mógł spotkać coś większego. Mimo to przystanąłem i słuchałem pilnie szelestu coraz bliższego mnie widocznie.

Odwiodłem kurek, złożyłem się do strzału, atoli ten zagadkowy zwierz wciąż jeszcze zakryty był przed mojem okiem gęstwiną sasafrasu; po kilkuchwilowem oczekiwaniu końcowe gałązki zaruszały się — i to zwierzę postąpiło naprzód stając na ścieżce prowadzącej do domu— w oddaleniu odemnie dwudziestu kroków...

— I to był rzeczywiście niedźwiedź? — podchwycił Bloomfield wyczekujący z zapartym oddechem końca opowieści.

— Niedźwiedź? — zapytał Stewart przeciągle i robiąc minę niezmiernego zadziwienia— skądże pan przyszedłeś do niedźwiedzia? Była to jedna z moich krów, która szła do domu do podoju.

— Więc do czegoż pan strzelałeś? pytał Bloomfield skonfundowany odpowiedzią i głośnym śmiechem Simmonsa.

— Przecież własnej krowy nie będę strzelał? — odparł Stewart, na pozór niby zdumiony.

— Ależ pozwól pan mu skończyć opowiadanie — wtrącił kapitan Wilkens... widocznie zadowolony bardzo z rozczarowania ciekawego Nowojorczyka — wszak musiał jeszcze przejść całą wschodnią stronę czworoboku, żeby wrócić do domu.

— A nie inaczej! — podchwycił Stewart z udaną powagą. — Otóż była to jedna z moich krów, a spotkanie jej nie mogło mnie wcale zadziwić, bo zwykle o tej godzinie wieczorem wracały onę same do domu. Więc zamknąłem kurek i nie spodziewając się dostać w tej stronie cokolwiekbądź na strzał... po dziesięciu minutach, w istocie nic nie spotkawszy na drodze, wróciłem do domu.

— Ha, ha, ha! — zagrzmiał przeciągłym śmiechem stary Simmons — warto doprawdy wypić kropelkę na zdrowie pańskie, i powodzenie znakomite... ale bo co to za zabójcza broń z tych flint maleńkiego kalibru.

— Stokrotne dzięki za pańską bajeczkę, ubawiłem się nią wyśmienicie — rzekł urażony Bloomfield do Stewarta kłaniając się sztywnie. I mimo błagań Simmonsa obawiającego się by zimny przeciąg na pokładzie nie zaszkodził mu, jeżeli wprzód nie zasili żołądka szklaneczką „brandy z cukrem,“ — opuścił rozsierdzony Nowojorczyk kajutę ku wielkiemu zadowoleniu umęczonych towarzyszy.

— Daj mi pan rękę, niech ją uścisnę — wołał Simmons do Stewarta, biorąc jego prawicę, gdy za Bloomfieldem drzwi się już zamknęły. — Niech mię djabli wezmą, doskonały pomysł... wyznam że dotychczas miałem pana za poczciwego Hioba z baranią głową, ale teraz z pełnym respektem dla waszeci. Wystrychnąłeś go pan na dudka jak rzadko... To mi zuch... W najlepszym humorze, bo nawet Gray i kapitan uśmiali się serdecznie, rozpoczęli wszyscy grę na nowo.

— Kapitanie! nie raczyłbyś pan pomówić z pewnym człowiekiem na brzegu stojącym! — zapytał *mate*, wtykając głowę przez drzwi do połowy odemknięte. Mamy zaledwie zapasem pół sąga drzewa, a tam na brzegu jest skład, i wcale suchem i dobrem wygląda ono z wierzchu.

— Wybaczcie panowie — zwrócił się Mr. Wilkens do partnerów powstając i składając karty swoje. Dowiem się tylko o cenę drzewa i służę natychmiast.

— *Mate* powiada, że to drzewo wygląda suche i dobre — rzekł Simmons nie zaniedbując i przy tej sposobności zrobić swojej dowcipnej uwagi, gdy wszyscy przez kajutę weszli na galerję. — Pięknie suche być musi, gdy całe godziny wystawione na taki silny tusz niebieski.

— Jakie to macie drzewo? — wołał kapitan z hurricanedecku do człowieka na brzegu, oddalonego jeszcze o kilkaset kroków.

— Półtrzecia dolara... — brzmiała stosowna odpowiedź.

— Jakie to drzewo?

— Około szesnastu sągów.

— Ale pytam o gatunek drzewa? — wołał kapitan.

— Aha... możecie tu doskonale przybić, ot do tego wielkiego drzewa Cottonwood'u.

— Musimy sami przekonać się, co to za drzewo — rzekł kapitan śmiejąc się — bo ten filut nie rozumie mnie albo raczej udaje, że nie rozumie. — Postąpił do taśmy dzwonka i pociągnął ją silnie kilka razy na znak że będzie lądował po drzewo.

Wood pile — wood pile! zawołano na międzypokładzie. Że zmierzchało już, *mate* z latarnią w ręku otoczony pomocnikami, udał się do ciemnych lokalności międzypokładu ażeby wypędzić na deszcz i wiatr obowiązanych do tej roboty pasażerów, wcale niezadowolonych tą przykrą niespodzianką. Bo rzeczywiście nieprzyjemne to zajęcie w taką słotę na własnych barkach nosić przemokłe polana, nadto drapać się z niemi po stromym i ślizgim brzegu rzeki. Palacze rychło rozrzucili na brzegu dwa ogniska ażeby rozwidnić dokoła, i wnet wysypała się na brzeg gromada majtków i międzypokładowców, a każdy spieszył się, zeby jak najrychlej ukończyć nieznośną robotę.

Jeden z palaczów okrętowych pierwszy nabrał sporą wiązkę drzewa na ramię i silnym krokiem przeszedł wilgotny brzeg, poczem muł oblepił mu obuwie i utrudniał chód w wysokim stopniu; zdążywszy na pomost szedł zwolna i ostrożnie, gdy nagle jedno polano wymknęło mu się z ręki. Chciał je pochwycić w powietrzu, ale stracił równowagę i z całym ciężarem runął z wąskich desek do szumiącej dołem rzeki.

— Nasypać popiołu na pomost... — wołał *mate*—zatrzymajcie się do licha, chcecie wszyscy powpadać za tym do wody?

— Jeden wpadł do rzeki! — zawołało nagle kilka głosów.

— Niech bieda bierze tego warjata, wpadł jedynie z własnej winy. A no żywo *boys*, noście drzewo, bo szkoda czasu.

— Popatrzeć natychmiast, co się z nim dzieje! — zawołał kapitan, usłyszawszy o wypadku.

— Już płynie do brzegu, kapitanie — odpowiedział jeden z majtków — właśnie wyłazi z wody.

Biedny palacz dopłynął dzielnie do brzegu, i byłby może nie wylazł tak prędko z grząskiego mułu, ale szczęściem w połowie drogi chwycił się za gałąź przechylonego nad brzegiem drzewa i w ten sposób wygramolił się na suchy ląd szczęśliwie. Zmoczony cały, chciał przejść na statek i osuszyć się, bo biedak nie miał drugich sukień oprócz tych co na sobie—ale *mate* zaszedł mu drogę i z gniewem zawrócił, rozkazując naprzód nosić drzewo, a potem dopiero myśleć o sobie, do czego dość jeszcze będzie czasu.—*Damn it*— kończył nielitościwy człowiek — któż wam kazał być takim warjatem i o tej porze skakać do wody? Zaraz mi do drzewa i *be damned to you*

Ale palacz, rzecz naturalna, zimną kąpielą skwaszony, i w dodatku oburzony nieludzkiemi słowy *mate*'a, tak się uniósł na to że pochwycił nóż, wiszący mu jak u każdego robotnika u pasa, i poprzysiągł na wszystkie świętości i na całe piekło, razem, że wpakuje ostrze po samą rękojeść *mate*'owi w brzuch, jeśli ten nie przestanie napędzać go do roboty w mokrej odzieży.

Byłoby może przyszło do ostrej sprzeczki, gdyby nie wmięszanie się kapitana, który ganił *mate*'a za zbyteczną gorliwość i nie pozwolił aby biedny robotnik strudzony samem pływaniem i borykaniem się z falą, do tego w zmoczonej odzieży do roboty był zmuszany.

Kilka godzin bez przerwy nosili wszyscy z niestrudzoną gorliwością ciężkie polana po mokrym i stromym brzegu, a *mate* tymczasem bystrem okiem śledził, żeby jaki taki wygodniś nie ukrył się w ciemnych lokalach międzypokładu, uwalniając się samowolnie od roboty. Wprawdzie kilku Niemców, którym ta zabawka wcale do smaku nie przypadła, próbowało cichaczem skryć się w pobliskich krzakach, by tam spokojnie wyczekiwać sygnału do odjazdu na statku. Ale surowszy od *mate*'a nadzorcy wypędzili ich rychło z ukrycia do roboty. Były nimi moskitosy, które rojami latały po nad bagnistemi brzegami.

W końcu zadźwięczał upragniony głos metalowy: spieszcie na pokład — a głos ten wydał się strudzonym biedakom muzyką melodji pełną. Ściągnięto pomost, spławiono statek i wnet olbrzym ruszył ze zwykłym wtórem wrzaskliwych kół i maszyny.

Po dziesiątej godzinie deszcz ustał, chmury przerzedzając się zwolna uciekały za lasy i góry i wnet wychyliła się skrzywiona twarz księżyca, rozlewając mdłe światło na ciemne wód zwierciadło. Nasz pilota, człek doświadczony i przezorny, choć jak się wyrażał, każdy cal rzeki był mu doskonale znajomy, płynął wolniej jak za

dnia, obawiając się słusznie możliwego w nocy wypadku.

O jedenastej statek zatrzymał się w „Napoleonie“ u ujścia Arkansasu. Kilku pasażerów wysiadło, w zamian kilku przybyło na pokład.

(C. d. n.)

Myśli o najnowszym kierunku w historji

przez

Bolesława Czerwieńskiego.

(Ciąg dalszy.)

III.

Chcąc mówić o duchowym rozwoju ludzkości, koniecznem jest znać jej stan pierwotny, w ten bowiem tylko sposób w porównaniu z teraźniejszym jej stanem można wnioskować o prawach nią rządzących, o jej przyszłości i innych wyższych zagadnieniach. Dla filozofa historji znajomość pierwotnego stanu ludzkości jest daleko ważniejszą, aniżeli historja jej późniejszych przeobrażeń, tak bowiem jak mikroskopijny kryształik jest już formą w sobie skończoną, przedstawia kształt i własność ciała i dozwala mineralogowi rozprawiać o niem, jak by miał przed sobą największy kryształ, tak samo w pierwotnym stanie ludzkości skrystalizowaną jest cała jej historja i przeznaczenie. Na poparcie naszego zdania przytoczymy zdanie Hellwalda, który powiada, że historyk cywilizacji powinien się zajmować nie faktami, tylko s t a n a m i s p o ł e c z e ń s t w. Dla tego pozwolą czytelnicy, że się cofniemy w daleką przeszłość, bo aż w przedhistoryczne czasy. Podług przyjętej teraz powszechnie plutonicznej teorji astronomów, ziemia istniała już przez długi czas jako kropla ognistego płynu, zanim się pokryła stałą powłoką. Przez wieki wieków powłoka ta grubiała, przez ciągłe oziębianie pary powstały morza, wytworzyła się atmosfera, ukształtowały się lądy, ustaliła temperatura i dopiero wtenczas ziemia stała się możliwem mieszkaniem istot organicznych*), na których czele stoi, już przez Lineusza na tem stanowisku umieszczony człowiek. Nie możemy tu roztrząsać kwestji zkąd się człowiek wziął na ziemi, czy został stworzony podług powieści biblijnej, czy też pochodzi od wyginionej rasy t. zw. małpo-ludzi (Pithekanthropoi) jak utrzymują Darwiniści**), pytanie to bowiem nie jest jeszcze dostatecznie rozjaśnione. Trudno jest także oznaczyć, gdzie była pierwotna kolebka rodzaju ludzkiego, jako też wiek ludzkości, na oba te jednak pytania można mniej więcej w przybliżeniu odpowiedzieć. Według logicznych przypuszczeń popartych dowodami ze wszystkich prawie gałęzi nauk przyrodniczych, kolebką rodzaju ludzkiego był ląd obecnie nie istniejący położony na Oceanie Indyjskim na południu wyspy Ceylon, nazwany przez angielskiego naturalistę Sclatera Lemurją*). Przyjęcie tego lądu za kolebkę rodzaju ludzkiego uświęca nawet biblja, która Eden umieściła między czterema tajemniczemi rzekami, Nilem, Eufratem, Tygrysem i Indem. Czasu, w którym pierwszy człowiek ukazał się na ziemi oznaczyć dokładnie nie podobna, w każdym jednak razie dowiedzionym jest faktem, że starożytność rodzaju ludzkiego jest daleko większą od tej, jaką jej chronologja żydowsko - chrześcijańska naznacza. Dość długo odnoszono czas ukazania się człowieka na ziemi do epoki miocenicznej, gdy jednak uznano wykopaliska Abbé Bourgois za produkty natury, a nie wyroby ręki ludzkiej, posunięto go do epoki dyluwjalnej. Że człowiek żył w epoce dyluwjalnej przed i po perjodzie lodowców (Gletscherperiode) nie ulega obecnie żadnej wątpliwości, potwierdzają to wykopaliska Bouchera de Perthes poczynione w dolinie Somme między Abbeville a Amiens, najbardziej zaś znalezione między Orleanem a Agen w departamencie Dordogne koło Cro-Magnon szkielety dwóch mężczyzn i dwóch kobiet razem z kośćmi przedpotopowych zwierząt i szczątkami naczyń. Do późniejszej daleko epoki odnieść należy wykopaliska Jütlandzkie znane pod nazwą „pozostałości kuchennych“ (Kjökkenmöddingern), zaś budowle nawodne należą już do czasów historycznych, nie można ich uważać za bardziej starożytne od egipskich zabytków budownictwa. Ciekawą ilustrację starożytności rodzaju ludzkiego stanowią obliczenia i wymiary namułu, który Nil corocznie podczas swego wezbrania osadza w Egipcie. Nil wylewając osadza namuł przy podstawach budowli, przez co się one niejako zapadają w ziemię. Znając starożytność, którego z tych pomników (obliczenia wykonano przy statuy Ramzesa II, której czas wybudowania przypada na rok 1361 przed Chr.), można z tego, jak wysoko się naokoło niego podniósł namuł Nilowy, obrachować jak gruba warstwa corocznie się osadza. Na około pomnika Ramzesa II warstwa namułu naniesionego od r. 1361 przed Chr. do 1854 po Chr. (w tym bowiem roku pomiary wykonywano) wynosiła 9′ 4″, z czego wynika, że w jednem stuleciu osadzało się $3^1/_2$ cali. Niedaleko tego pomnika wykopano w głębokości 39′ licząc od jego podstawy, szczątki naczynia glinianego, uznanego przez starożytników za niewątpliwe dzieło ręki ludzkiej. Przypuszczając, co jest prawie pewnem, że szczątki te naczynia glinianego pokryte zostały w ten sam sposób namułem, jak i podstawa pomnika Ramzesa II przyjdziemy do wyniku, że w Egipcie już na 11.646 lat przed naszą erą żyli ludzi, którzy wyrabiali naczynia gliniane, co świadczy o stosunkowo dość wysokim stopniu ich cywilizacji**).

Liczne wykopaliska ludzkich kości kopalnych (fossil), a szczególniej poczynione w jaskini Cro-Magnon, poświadczają, że człowiek pierwotny był rówieśnikiem mamuta, przedpotopowego nosorożca i innych zaginionych rodzajów zwierząt olbrzymich. W jaskiniach tych znachodzimy często obok kości ludzkich i wyż wymienionych zwierząt także szkielety reniferów, z czego wypływa, że ten rodzaj zwierząt, obecnie mieszkający tylko na północy był w perjodzie lodowców mieszkańcem środkowej Europy, a z wiekami wskutek zmiany stosunków klimatycznych, nie wyginął tylko się przeniósł na północ. Jak już powiedzieliśmy najstarsze szczątki człowieka znaleziono w pokładach z epoki dyluwjalnej, starożytność jednak rodu ludzkiego odnieść należy w jeszcze odleglejsze czasy, a to z następującego powodu. W jaskini Cro-Magnon znaleziono obok kości ludzkich drewniane naczynia, jakoteż rogowe, ozdobione niekształtnemi rzeźbami ryb, reniferów i ludzi, dalej strzały i inne narzędzia wojownicze, farbkę do malowania ciała, naszyjniki z muszel, a nawet igły, któremi mieszkańcy tej jaskini zapewne zszywali skóry dzikich zwierząt służące im za odzienie. Wszystko to dowodzi istnienia u nich pewnego rodzaju kultury zbliżonej poniekąd do tej, jaką posiadają obecnie dzikie plemiona Australji i Polinezji. Jeżeli się zważy, że tak jak wszystko tak i cywilizacja z początku postępować musiała nadzwyczaj powoli, i że człowiek używający igły i usiłujący w rzeźbie przedstawić otaczające go przedmioty w porównaniu z człowiekiem zupełnie dzikim*) stoi już prawie tak wysoko w cywilizacji ponad tym pierwszym, jak obecnie wykształcony Europejczyk po nad tubylcem Australskim, musimy pierwsze ukazanie się człowieka na ziemi odnieść w głębszą starożytność, aniżeli do epoki dyluwjalnej do której należą wykopaliska z Cro-Magnon. Darwiniści, konsekwentnie z swoją teorją utrzymują, że pierwszego człowieka, a właściwie pierwszych ludzi, nigdy nie było**) rozumiejąc to w ten sposób, że człowiek, podług Darwina, mógł powstać tylko przez stopniowe udoskonalenie się organizmu z zwierząt niższego rzędu, co trwało wieki: a więc nie można pociągnąć linji matematycznej, kiedy zaginął małpo-człowiek, a postał człowiek. Dowodzi to tylko, że wszystkie daty ludzkiego rozwoju są chwiejne nie zbija jednak twierdzenia, że człowiek ukazał się na ziemi przed końcem epok trzeciorzędnej i dyluwjalnej: ściślejszego okreslenia tego czasu nigdy mieć nie będziemy i nikt wymagać nie może.

„Kto się zabiera do zbadania pierwotnych stosunków rodu ludzkiego“—powiada Hellwald***), ten musi się przedewszystkiem pozbyć błędnego mniemania, które przez wieki opanowywało umysły, jakoby w praperjodzie****) historji ludzkiej istniał jaki skończony pranaród, jakoteż, jakoby pierwotny stan ludzkości jaśniał zazdrości godnym blaskiem, a teraźniejszość, była tylko wyrodną córą przeszłości. Poeci rozprawiali o wieku złotym ludzkości, umiejętność zaś poucza o czemś zupełnie przeciwnem. Pierwotnego położenia ludz-

*) Hipotezę Cuviera, że człowiek ukazał się na ziemi dopiero po powstaniu wszystkich zwierząt obaliły najnowsze wykopaliska z epoki dyluwjalnej. Przemawia to przeciw Darwinowi i dziwna rzecz, że właśnie jego zwolennicy nie przeczuwając widocznie konsekwencyj, cieszą się z upadku hipotezy Cuviera.

**) Częstokroć nie tylko w potocznej mowie, ale nawet w pismach spotkać się można z zdaniem, że Darwin uważa ludzi za potomków małp. Zdanie to jest fałszywe i dowodzi czasem lekkomyślności, a czasem złej woli. Darwin w dziele swojem „O powstawaniu rodzajów“ nie dotykał zupełnie kwestji pochodzenia człowieka, dopiero jego zwolennicy, szczególniej Niemcy zastosowali teorję jego i do człowieka. Darwin w ostatniem swojem dziele „O pochodzeniu człowieka“ przyjął ich zapatrywania i utrzymuje, że protoplastą człowieka był rodzaj małpo-ludzi (pithekanthropoi), z których w jednej linji powstały małpy, a w drugiej ludzie. Innemi słowy: Człowiek podług Darwina nie jest potomkiem małpy tylko jej bratem.

*) Obszernie o tem pisze Peschel „Völkerkunde“ rozdział pt. „Schöpfungsherd des Menschengeschlechts“ str. 28.

**) Busch Geschichte des Orients, podług Lenormanta „Histoire de l' Orient.“

*) Słuszną uwagę robi Hellwald (Culturgesch.) że obecnie zupełnie dzikich ludzi na ziemi niema, bo nawet najdziksze plemiona używają pewnych narzędzi koniecznie potrzebnych, a nawet zbytkowych, znają ogień i jego użycie, słowem są w posiadaniu pewnego rodzaju cywilizacji, której pierwotni ludzi posiadać nie mogli. Patrz o tem także John Lubbok „Początki cywilizacji.“

**) Hellwald „Culturgeschichte“ str. 10.

***) Culturgeschichte str. 18.

****) Pozwoliliśmy sobie tego wyrażenia na przetłumaczenie niemieckiego wyrazu „Urperjode“ zamiast używać wyrażenia „czasy pierwotne“ które właściwie nie określają tego pojęcia. (P. A.)

*

kości nie oświecał złoty promień szczęścia, teraźniejszość nie jest potwornym wyrodkiem przeszłości, jednem słowem wiek złoty, albo raj, jak kto chce, jest bardzo piękną bajką, ale niczem więcej jak bajką.“ Na to zdanie Hellwalda trudno się nie zgodzić; już samo pojęcie postępu ludzkości, który jest widocznym, przemawia za odrzuceniem przypuszczenia, jakoby ludzkość dawniej była lepiej urządzoną, a tem samem szczęśliwszą niż teraz. Dziwna rzecz, że przypuszczenie to znachodzi uznanie w wielu religjach, jakkolwiek niegodne jest pojęcia Boga. Czyż nie lepiej jest przyjąć to, co potwierdza logika i nauka doświadczalna, że Bóg ludzkości przez pracę i mozoły każe dobijać się szczęśliwości, aniżeli, że stworzył ją szczęśliwą, a potem dopiero pogrążył w nędzy.

Przystępujemy teraz do bliższego określenia stanu pierwotnej ludzkości i do treściwego wykazania, jak z nic nieznaczących prawie początków wyrosła wspaniała cywilizacja, budząca podziw w samych jej twórcach, tak jak cudowny posąg w duszy Pigmaliona. Powiedzieliśmy już wyżej, że za pierwotną siedzibę protoplastów rodu ludzkiego uważają uczeni zaginiony ląd na Oceanie Indyjskim zwany Lemurją. Kraj ten pod względem klimatu, fauny i flory musiał być bardzo zbliżony do istniejących obecnie wysp Oceanu Indyjskiego. Roślinność była w nim nadzwyczaj bogata; wspaniałe drzewa rodziły smaczne i pożywne owoce, wysmukłe palmy daktylowe wraz z olbrzymiemi skrzypami przedstawiały widok czarujący, klimat był jak we wszystkich krajach podzwrotnikowych gorący, łagodził go jednak po części powiew morskiego powietrza; zwierzęta rozmaitego gatunku napełniały to pierwsze siedlisko ludzi, czyniąc je zarówno miłem jak i niebezpiecznem. Z pomiaru wykopanych kości i czaszek okazuje się, że pra-człowiek, tak co do budowy, jako też i co do wzrostu nie wiele się różnił od teraźniejszych ludzi — niektóre tylko organa miał bardziej wykształcone, a to w skutek ciągłego fizycznego ćwiczenia, któremu się mimowoli umiał oddawać. Jakże mamy sobie przedstawić tego pra-człowieka? — Oto nieinaczej, jak którego kolwiek z teraźniejszych dzikich tylko jeszcze na niższym stopniu rozwoju. Był on nagi, obrosły włosami, nie posiadał żadnego środka dla zabezpieczenia się przeciw zimnu (co zresztą w owym kraju było rzeczą zbyteczną), mieszkaniem jego były konary drzew lub jaskinie, żywił się owocami, a poił wodą, słowem wszystkie jego czynności ograniczały się tylko na zaspokojeniu potrzeb fizycznych. (C. d. n.)

Gniazdo sprawozdawców wojennych.

Zemlin 21. lipca 1876.

Małej naddunajskiej mieścinie ani się śniło przed paru miesiącami, że tak wielkiej sławy dostąpi. Dziś każdy dziennik co numer powtarza jej nazwisko i nawet Francuzi, których wstręt do geografji powszechnie jest znanym, wiedzą już o niej więcej niż o niejednem mieście stotysięcznem.

A wszystkiemu temu winna wojna. Na jej odgłos z całego świata zbiegło się tu wędrowne ptactwo korespondentów, czyhających na telegramy jak na żer, ażeby potem przy pomocy wynalazku Morse'a i Guttenberga, na cztery wiatry rozsyłać świeże nowiny i plotki. Zemlinianie otrzaskali się już z tym nowego rodzaju najazdem, ale piękne Zemlinianki jeszcze od czasu do czasu uchylają zielone story żółtych i niebieskich domków, ażeby się przekonać, jaka jest różnica pomiędzy korespondentem włóczącym się po ulicy bez celu, a zwyczajnym człowiekiem, który także włóczy się bez celu.

Ale jeżeli kto, to właściciele hotelów i kawiarni, nie mogą się skarżyć na zmiany jakie im wojna sprowadziła. Pokoje wszystkie są pozajmowane, a przed wystawami kawiarni zastać można od rana do nocy po kilku lub kilkunastu jegomościów wszystkich ras, narodów i obozów.

Nad wieczorem zwykle ożywia się brzeg Dunaju. Aleje i groble chroniące przystęp do miasta od zalewu, stanowią miejsce przechadzki, dając cień i chłód nadbrzeżny, tak pożądany w tej stronie. Tu spotkać można majtków w szeroko otwartych niebieskich koszulach i małych szkockich czapeczkach, oficerów brzękających szablami, policję polującą ażeby jaki ochotnik nie rzucił się wpław do Dunaju, Słoweńców o ogorzałej twarzy, w kamizelkach z ogromnemi świecącemi guzami, trzymających wiosło w ręku i zachęcających do wycieczki na rzekę, listonoszów biegających z przesyłkami, dzieci na pół nagie kąpiące nogi w wodzie, ażeby je znowu zabłocić, wreszcie płeć piękną, umiarkowanie piękną i... panów korespondentów.

Nad wodą zachowują się oni spokojnie, czy z powodu chłodniejszego powietrza, czy też widoku pancerników austrjackich, albo z obawy przed wybuchem torped, które mają być niby utajone pod wodą — w mieście jednak, gdzie tego wszystkiego nie ma, gdzie zarówno samo niebo, jak i właściciele hotelów starają się o rozgrzanie serc sprawozdawczych — dysputy ożywiają się i czasem nawet, jak to miało miejsce z wsławionym korespondentem *Neue freie Presse*, panem Wallsee, czy też Feiglem i p. Majerem korespondentem *Neues Pester Journal* przychodzi do czynnych nieporozumień. P. Wallsee jest jak wiadomo wynalazcą nowego rodzaju samobójstw, o którem jeszcze hr. M. Dzieduszycki wcale nie słyszał, mianowicie samobójstwa telegraficznego. P. Majer zaś, trzymając się zasady *similia similibus curantur*, przywrócił życie nieboszczykowi także za pomocą telegrafu. Ztąd obraza, która z dziedziny słuchu przeszła w sferę wrażeń dotykowych i wywołała wdanie się dyplomacji. Szesnastu korespondentów złożyło *jury* międzynarodowe w hotelu „Europa“ i biorąc za wzór zjazd Reichstadzki, uradzili, że strony interesowane... mogą się bić ze sobą. Pan Majer jednakże zgodził się na to, tylko pod tym warunkiem, że pojedynek odbędzie się po skończeniu wojny. Najprzód bowiem nie mógł narażać peszteńskiego dziennika na utratę korespondencyj, do czego się zobowiązał, a powtóre nie chciał prawdopodobnie powiększać zawikłań europejskich i tak już nie mało kłopotliwych dla pp. Andrassych i Gorczakowów. P. Wallsee zaś usłyszawszy taką odpowiedź, użył znowu broni telegraficznej, ażeby zabić przeciwnika. Wysłał bowiem do *Pester Journal*, który z *Neues Pester Journal* w nieosobliwych znajduje się stosunkach, telegram tej treści, że p. M. przy tych a tych świadkach odmówił pojedynku.

I znów zapanowała cisza w gnieździe korespondentów.

Jak widzicie, wiedeńskie i peszteńskie dziennikarstwo nie osobliwie się odznaczyło. Natomiast trzeba przyznać, że inni korespondenci, mianowicie francuscy, są to ludzie poważni, nie mięszający się do szwindlów telegraficznych, i poprzestający jedynie na ogólnych poglądach, które tu, tak dobrze jak i w Paryżu kombinować można.

Jeden z nich, gdym go się zapytał nieznając jeszcze tutejszych stosunków, zkąd odbierają depesze, objaśnił mnie, iż tu żadne depesze nie przychodzą, i że chcąc mieć świeże wiadomości, trzeba jeździć do Belgradu. Przekonałem się jednak następnie, że tak źle nie jest, chociaż istotnie wiele tu wiedzieć nie można. Do redakcji tutejszej serbskiej gazety *Graniczar* przychodzą codziennie depesze, ale to jako pisane po serbsku są dla znacznej większości korespondentów niedostępne. Byłem dziś świadkiem takiego zakłopotania panów sprawozdawców z tego powodu. Do kawiarni w hotelu „kod zlatnoy angela,“ gdzie był uwięziony Stratimirowicz, przyniesiono kartkę z serbskim telegramem. Gromadka korespondentów niemieckich obsiadła stolik dla narady co to być może; podawano sobie kartkę z rąk do rąk, robiono domysły, ale wszystko napróżno, dopiero jakiś jegomość w okularach wyglądający na Czecha, począł objaśniać ciekawych, iż Czarnogórcy pobili Turków pod Nevesinie i że główne siły ks. Mikołaja znajdują się już tylko o 6 godzin drogi od Mostaru.

Francuzi nie probują nawet czytać serbskich depesz i powiększej części nie znają oni żadnego innego języka prócz francuskiego, tylko niektórzy z nich mówią po niemiecku i ci się za resztę porozumiewają. Tak więc właściwem źródłem wszystkich ztąd wysyłanych wiadomości są albo prywatne listy z Belgradu, albo osobiste ztamtąd przywiezione wrażenia, albo dzienniki niemieckie z Wiednia i z Pesztu. Jeżeli zaś większość telegramów ztąd odchodzi, to tylko dla tej przyczyny, że korespondenci belgradzcy już to dla pośpiechu, już z obawy konfiskaty, (jeżeli telegram jest Serbom nieprzychylny) przeprawiają się przez Dunaj i tu oddają depesze. Komunikacja zresztą jest teraz dosyć utrudniona, statki bowiem, które dawniej co dwie godziny przewoziły podróżnych, obecnie kursują tylko raz na dzień, a rzeka, z powodu wylewu bardzo jest szeroką i przedostanie się łódką dość dużo czasu zajmuje.

Z dzienników oprócz niemieckich mamy tu słoweński *Obzor* wydawany w Zagrzebiu, i *Zastawę* serbską z Nowego Sadu. Gazeta belgradzka *Istok* została zakazana i tylko telegramy na kartkach dochodzą. *Graniczar* zaś jest zbyt mały, ażeby można było z niego czerpać wiadomości, wychodzi przy tem tylko trzy razy na tydzień. Francuskie pisma odbierają tylko korespondenci.

Mamy tu także Amerykanina, który na wiadomość o wojnie przyjechał bez paszportu i z tego powodu stosunki jego z miejscową policją są naprężone, trzeba bowiem wiedzieć, iż obecnie nawet od korespondentów wysiadających ze statku żądają paszportów. Można sobie wyobrazić jaka wieża Babel panuje tu przy większych zebraniach. Francuzi klną na czem świat stoi, nie mogąc się dogadać z kelnerami, Niemcy kłócą się między sobą i tylko jeden Amerykanin w długim surducie milczy jak ryba. Nie wiem doprawdy zkąd ten człowiek czerpie wiadomości. Dziś przy objedzie Prusak, którego poznałem na statku, powiedział mi, że w tej chwili nadszedł telegram prywatny do korespondenta *Neue freie Presse* (którym jest już ktoś inny na miejsce p. Wallsee) z bardzo ciekawemi wiadomościami. Powiedział on mi wszystko pod sekretem, dodając że paryskim swoim kolegom nie udzieliłby tych wiadomości za żadne skarby świata. Bodaj to być specjalnym korespondentem!

Nad brzegiem stoją tu dwa małe pancerniki austrjackie, które obecnie w braku lepszego zajęcia, zabawiają się zaciąganiem i ściganiem flag czerwono-białych. Wojska także mamy dosyć, zwłaszcza w okolicy. Ludność tutejsza mało się interesuje wojną. Katolicy nawet nie wszyscy sprzyjają Serbom, chociaż biskup dalmacki Strossmayer podobno bardzo gorąco domagał się u papieża poparcia dla Słowian walczących.

Według *Nowego przewodnika po Dunaju* ma tu być połowa ludności słowiańskiego i greckiego, połowa zaś (5000) niemieckiego pochodzenia. Niemiecki język jednak tak rzadko się słyszeć daje, iż wątpię ażeby ten stosunek był prawdziwym.

Z powodu wojny Zemlin stał się najczynniejszą w całej Austrji stacją telegraficzną. Mimo znacznego powiększenia liczby urzędników, są oni przeładowani robotą i ledwo mogą nadążyć. Poczta natomiast raz tylko na dzień przychodzi.

Jutro wyjeżdżam do Belgradu, zkąd mam zamiar drugi list wam przesłać.

*

POGADANKI.

XXXI.

Trudnem bywa co roku o tej porze zadanie dziennikarza, skazanego na samotne wołanie wśród puszczy, wyludnionej na korzyść Krynicy, Iwonicza, Truskawca, Lubienia, albo i Kisielki lub Pohulanki. Z wyjątkiem redakcyj, urzędów podatkowych i woźnych, nikogo zazwyczaj nie ma w domu około św. Anny, obecnie zaś, na domiar nieszczęścia, wszystkie oczy zwrócone są

ku krajom, w których leżą: Banialuka, Blagaj, i inne miejsca o nazwach *de mauvais augure*. Czem tu zająć uwagę czytelnika, ażeby i nie przekroczyć programu *Tygodnia*, i ominąć przedmioty, na razie pozbawione interesu?

Żałuję mocno, że nie znane mi są bliższe szczegóły o gwardji przybranej, którą po wymarszu wszystkich mężczyzn z Belgradu dodano księżnej serbskiej Natalji, i która składa się ze stu dziewic, i w ogóle niezamężnych osób płci żeńskiej. Jeżeli przy wyborze ich, oprócz na wolność do noszenia broni, miano wzgląd i na ujmującą powierzchowność, to musi to być najpiękniejsze wojsko pod słońcem, i wojna w ten sposób prowadzona musi mieć pozory operetkowe. Nic dziwnego, że korespondenci dzienników, zamiast spieszyć do obozu, przesiadują w Belgradzie pod Konakiem książęcym, gdzie przebywa siedmnastoletnia monarchini na czele tych amazonek. Na szkodę romantyzmu wszakże, zagnieździły się już w Serbji pukle i szyniony, suknie z długiemi trenami i wysokie korki u trzewików. W takich warunkach, umundurowanie gwardji książęcej musi być wcale kosztowne i raporta furjerskie muszą mieć wiele podobieństwa z owemi rachunkami, których i nam niepanującym śmiertelnikom nie odmawia łaskawe niebo, pozwoliwszy nam raz zakosztować słodyczy stanu małżeńskiego.

Nierównie idealniej przedstawiają się rzeczy w Czarnogórze, gdzie przechowywały się obyczaje patrjarchalne, do tego stopnia, iż najwyższy dygnitarz państwa, prezydent senatu Jerzy Petrowicz, pobierając tylko 3000 zł. pensji, nie trzyma kucharki, a kiedy przyjmuje u siebie którego z trzech rezydentów wielkich mocarstw, przebywających w Cetynii, to żonka jego sama gotuje jedzenie i usługuje przy stole. Zaszczytu tego dostąpił także korespondent angielskiego pisma *The Graphic*, za którym to powtarzam. Pismo to umieściło portret księżnej Mileny, żony księcia Mikołaja. Jest to prawdziwy typ pięknej góralki, w malowniczym stroju narodowym, a wyraz twarzy pozwala przypuszczać, że Turkom trudniej będzie w nieobecności księcia zdobyć wąwozy czarnogórskie, niż dopędzić jego samego w odwrocie, mimo „przedświtowej“ szybkości, jaką rozwija. Księżna Milena jest córką senatora Wukoticza, ma lat 29 i czworo dzieci, a wyszła za mąż nie mając jeszcze lat czternastu: historyk dodaje wyraźnie, że więcej nic o niej nie ma do powiedzenia, podczas gdy o księżnej Natalji powiada, że łączy ona piękność i młodość z wielkim talentem do dyplomacji.

Na tem, niestety, kończą się moje informacje co do piękniejszej połowy sprawy wschodniej. Zostaje mi jeszcze tylko wyrazić nadzieję, że ani haftowany strój góralski i junoński wzrost piękności czarnogórskich, ani szyniony i korki książęcej gwardji belgradzkiej nie znęcą żadnego z naszych młodych poetów do szukania wrażeń w tych stronach niespokojnych, gdzie o nic nie ma być tak łatwo, jak o pozbycie się nosa, i gdzie ornamentyka architektoniczna monasterów składa się z głów ludzkich, uciętych i zatkniętych na żerdziach. Nos jest instrumentem niezbędnym do odczuwania woni kwiatów, a głowa, do noszenia wieńca z wawrzynów, albo cylindra, bez jednego tedy i bez drugiej, żaden prawdziwy poeta obejść się nie może. Wieść niesie, że kiedy wezbrane fale Hebrusu urwały głowę Orfeuszowi lutnia jego umilkła na zawsze. Cóżby się stało z poezją narodową, gdyby na półwyspie bałkańskim prysła wiadoma „myśli krata“, albo gdyby wieszcz, w Bogu mistrzów narodu wielbiący, pozbawionym się ujrzał przyrządu do „zwąchania pisma“.

* * *

Jedynym jeszcze tematem, o którym ludzie rozmawiają chętniej w tych czasach, jest teatr. Zaprzeczono *Gaz. Toruńskiej*, jakoby p. Modrzejewska miała zamiar występować w Ameryce. Zapewniają, że artystka nasza ma zamiar zwidzić cuda Nowego Świata, ale tylko w charakterze turystki. Tymczasem w jednem i drugiem z wielu pism warszawskich, brzmi sława panny Deryng w sposób równie rozgłośny i równie przesadni, jak brzmiała we Lwowie. Panna D. powinnaby modlić się gorąco, ażeby ją niebo obroniło od zbyt bezwzględnych wielbicieli, talent jej znalazłby bowiem ogólniejsze uznanie, gdyby nie wyzywano opinji do mimowolnej krytyki takiemi twierdzeniami, jak np. że panna D. może zastąpić, a nawet przewyższyć, panią Modrzejewską. Są to indywidualne przekonania kilku młodych recenzentów, których natura obdarzyła tym pięknym serc młodocianych przymiotem, że entuzjazmują się nader łatwo, i nie znają miary w swojem uwielbieniu, ale ogół zimniejszym jest i bardziej wymagającym, a usterek nie prześlepia nigdy. U nas z kolei pp. Popiel, Zimajer i Deryng były przedmiotem takiego bałwochwalczego prawie kultu, i trudno powiedzieć, by im to na dobre wyszło.

Nietylko wszakże artystki z talentem, ale wszystkie w ogóle kapłanki Talii i Melpomeny mają swoich wyznawców, i jeżeli kiedy w tem lub w owem mieście powstaną nagle kwasy recenzyjne, albo jeżeli wybuchnie burza objawiająca się zmianami w afiszu, publiczność zdziwiona ani się domyśla, jakie to gniewy lub grymasy zakulisowe stały się przyczyną tego wzburzenia artystycznych i literackich żywiołów. Dość szczęśliwie ilustruje te stosunki *Djabeł* krakowski, jakoteż jego satelita, *Harap*. Nie pojmuję, co niewłaściwego upatrzeć mógł w tych artykułach p. Omikron w *Gazecie Narodowej*. Nie uważałem dotychczas, aby *Djabeł* wywlekał na jaw sprawy osobiste, satyra jego była zawsze zwróconą tylko przeciw dzikim pretensjom całej klasy mniemanych wielkości dramatycznych. W ogóle *Djabeł* jest nie tylko dowcipnem i wesołem pisemkiem, poruszającem wszystkie sprawy, które wymagają dotknięcia „rószczki satyrycznej,“ ale nadto, jest on także pismem wcale przyzwoitem, i podobne mu publikacje lwowskie, jak *Szczutek*, *Głos Wolny* i *Przegląd lwowski* powinne brać z niego wzór i poznawać granice dyskusji publicznej. *Harap* wychodzi w te niedziele, w które nie wychodzi *Djabeł*, i stroniąc od polityki, stara się naśladować francuski *Journal Amusant*, często z wielkiem powodzeniem. Jedno i drugie pismo ma nadewszystko tę zaletę, że nie czuć go ani juchtem, ani kadzidłem kościelnem, czego niestety o lwowskich pisemkach powiedzieć nie można; stanowią one bowiem albo to skrzydło naszej armji publicystycznej, które od pewnego czasu styka się najbliżej ze *Słowem*, albo też, jak *Przegląd Lwowski*, chełpią się ultramontanizmem, tj. podporządkowaniem spraw naszych pod interesa zakonu OO. Jezuitów.

* * *

Wspomniałem raz, że Niemcy umieją bawić się lepiej od nas, i przytaczałem na dowód ich resursy i inne zebrania towarzyskie. Obecnie opowiadano mi fakt, który powtórzę, ażeby każdemu nudzącemu się współobywatelowi dać wskazówkę, jak można urozmaicić sobie życie bez wielkiego zachodu. Pewien bogaty Niemiec p. Pums założył wraz z innymi resursę, i został wybrany jej wice-prezesem. Ponieważ z początku było mało członków, a towarzystwo potrzebowało pieniędzy na najęcie i urządzenie lokalu itp. więc Niemiec pożyczył parę tysięcy złr. i czekał cierpliwie rok jeden i drugi. Nareszcie, gdy prezes resursy wyjechał do wód, brakło cierpliwości naszemu p. Pumsowi, i wypalił siarczystą filipikę pisemną wydziałowi resursy, upominając się w sposób jak najmniej wyszukany o zwrot swoich pieniędzy. Ma się rozumieć, że woźny w nieobecności prezesa, zaniósł epistułę wiceprezesowi p. Pumsowi, a ten rozsierdzony obelżywym tonem wezwania, odpowiedział kupcowi, p. Pumsowi, że powinien według umowy poczekać, aż resursa zbierze fundusze, i że przedewszystkiem powinien przeczytać Kniggego i nauczyć się nieco grzeczności. Od tego czasu toczy się żywa bardzo korespondencja między p. Pumsem, kupcem, a p. Pumsem, wiceprezesem, przymówki i obelgi sypią się jak grad, i przyszło już nawet do zagrożenia procesem o obrazę honoru. Czy może być lepsza i niewinniejsza zabawka na takie gorąco?

Jan Lam.

Wystawa sztuk pięknych w Paryżu

w roku 1876.

(Ciąg dalszy).

Detaille: „Epizod z wojny 1870—1871 r.“ Po ukończonej zwycięskiej potyczce, pierwsze forpoczty francuskich „mobilów“ wchodzą do opuszczonej przez wrogów mieściny. Gęste trupy niemieckich żołdaków, zalegają ziemię. Kurzą się zgliszcza zbombardowanych domostw. Zachodzące słońce ozłaca całość obrazu dość ruchliwą i dość nieźle przedstawiającą się oku. Jak miło odnosić zwycięstwa, choćby tylko na płótnie, tego dowodzi ciżba ciekawych kupiąca się przed obrazkiem, podchlebiającym miłości własnej narodu. Jeden to z większych i w sumie dość zasłużonych sukcesów tegorocznej wystawy.

Wymieniwszy jeszcze dla pamięci „Marję Magdalenę“ Juljusza Lefevbre, „Orfeusza“ pana Glaize i „Zdobycz złotego Runa“ Horacego de Callias, przejdziemy do drugiego działu, do grupy obrazów rodzajowych.

Spotkamy się w niej naprzód z „Pracownią“ pana Munkacs'ego. Postęp olbrzymi, zadziwiający dostrzeże tu nawet krótkowidzący. Dzieło wielkiego talentu i sumiennej pracy. Obraz przedstawia wnętrze malarskiej pracowni. Na staludze zaczęte malowidła. Przed niemi artysta, jak mówią portret autora z pędzlem i paletą w ręku, przypatruje się temu, co zrobił. Pochylona mu na ramię młoda jeszcze niewiasta, może żona, z poufnemi występuje uwagami. W głębi na prawo, u komina, bawi się małe dziewczątko. Na lewo zwinięta w kłębek na poduszce drobna psina chrapie snem sprawiedliwych. Ot i wszystko. Jak widzicie nie masz wielkich wysiłków fantazji, a pomimo tego obraz przynęca bawi, zajmuje i widza długo zatrzymuje przed sobą. Prawdziwy bowiem artysta z niczego nawet coś stworzyć potrafi i z najdrobniejszych rzeczy wytworzyć pewną całość. Nic dowcipniejszego naprzykład, jak pozycja drzemiącego pieska. Jego jednego byłoby dosyć, by obrazowi wielkie zapewnić powodzenie. A powodzenie to zaskarbia mu tysiąc innych rzeczy. Jeden tylko zarzut. Koloryt za brunatny, za ciemny. Jabym myślał, iż pracownia, zwłaszcza malarska jaśniej i weselej wyglądać by powinna. Są tam po kątach cienie tak zgęszczone, iż by spotkać się z podobnemi w naturze, trzebaby chyba pod wieczór zejść z zakopconą latarką do sklepionej jakiejś piwnicy. Dla czego ta ostatnia wada?

Dwa obrazki pana Gérôme, jeden przedstawiający „Wejście do Meczetu“ drugi „Kobiety Tureckie w kąpieli.“ Pan Gérôme to pieszczoch, faworyt paryskiej publiczności, i przez nią, choć widzi nam się częstokroć bardzo niesłusznie, na wielkiego forytowany artystę. Nie brak mu zapewne talentu, lecz talent to niezawsze smaczny, często wymuszony i więcej pretensji, niż istotnej posiadający wartości. W ciągu niezbyt jeszcze długiej artystycznej swojej karjery, zdarzyło mu się kilka dość ładnych stworzyć rzeczy, ale od niejakiegoś czasu zasypia na zdobytych laurach. Naprzykład tegoroczne jego produkcje wcale mu takowych nie przysporzą. „Wejście do meczetu“ słuszniej powinnoby się nazywać „Studjum sztuki szewieckiej w Turcji.“ Głównym bowiem przedmiotem, ściągającym uwagę widza, jest kolekcja trzewików, sandałów, pantofli itd., którą wierni zostawili u progów świątyni. Jest tam i jakaś naga postać człowiecza przyczajona w cieniu. Ale jej szukać potrzeba, gdy natomiast wspomniana kolekcja obuwia, sama bodzie w oczy. Nie powiemy, by był to widok nader przyjemny i ciekawy. Przez wpół otwarte wrota meczetu, widać część jego wnętrza. To najlepsza strona malowidła. Zwalczono w niej bowiem trudność oświetlenia z góry, na której utyka wielu malarzy. Drugi obrazek „Kobiety tureckie w kąpieli“ jeszcze słabszy. Przedmiot oklepany. Pretekst do pokazania kilku ciał w pół nagich w rozmaitych pozach. Wykonanie liche. Ani w niem siły, ani wdzięku. W niektórych miejscach zaniedbanie widoczne. W innych znowu zbyt wykończone, pewne szczegóły całemu obrazkowi nadają charakter szczególny i nie powiem by nazbyt przyzwoity. Rzekłbyś iż malowanym był na obstalunek dla starego jakiegoś satyra. Pan Gérome według nas na bardzo złej jest drodze.

F i r m i n - G i r a r d: „Targ na kwiaty w Paryżu.“ Malowidło wywołujące wielkie hałasy i podobno że już sprzedane za 80.000 franków jakiemuś Amerykaninowi. Nie powiemy, by nas w nadzwyczajne wprowadzało zachwyty. Nie powiemy nawet, by nas zupełnie zadowoliło. Z pięćdziesiąt drobnych osóbek: przekupek, kupujących, przechodni, na niezbyt wielkiem tłoczy się płótnie. W głębi widok Paryża. Tour de force pod względem wykończenia najdrobniejszych nawet szczegółów. Kamienie w bruku, dachówki na domach, listki kwiatów w wazonach, guziki w odzieży osób przechodzących, wszystko to wypracowane z zadziwiającą dokładnością. Przesadzona cnota staje się wadą. Rzeczy w naturze nie tak się oku przedstawiają. Nikt przestrzeni obejmującej kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset metrów kwadratowych, nie obejmie okiem tak łatwo. Nikt na niej z taką dokładnością, tylu zarazem nie dopatrzy rzeczy. Tylko cośmy się gniewali na panów „wrażeniowców“ iż nam świat i przyrodę, przez zbyt oddalające pokazują szkiełka, a oto wypada nam się gniewać na p. Firmin-Girard za przeciwną ostateczność, za pokazywanie nam wszystkiego przez mikroskop. Między temi dwoma biegunami jest przecie środek, żywe oko. Co z niem tak pokłóciło malarzy? Dla czego upierają się widzieć za mało, lub za wiele? Dla czego nie chcą widzieć w miarę? Obraz p. Firmin-Girard nie robi wrażenia malowidła lecz raczej z drobnych kamyczków ułożonej mozaiki Florentyjskiej. Robione to nie pędzlem zwykłym, ale jakiemiś instrumencikami matematycznej precyzji. Amerykanin który to nabył, może się chwalić, iż posiada cudotwór cierpliwości, zręczności, drobiazgowego trudu, lecz by posiadał istotne dzieło sztuki, temu zaprzeczamy.

H o r o w i t z a (Węgra): „Nie straszna wojna“ Obrazek przedstawia dwie siostrzyczki, małe dziewczątka w kłótni o lalkę. Wojna nie straszna? Hum! Jak dla kogo, ale pewno że nie dla przedmiotu sporu nie dla lalki, której ostateczne grozi rozszarpanie. Utwór bez pretensji a dowcipny i z wielką werwą wykonany. Tyleśmy już na obrazach innych artystów porcelanowych widzieli figurek, tyle buziaków dziecięcych ulepionych z jakiejś masy śnieżno-różanej karmelkowej, iż te mniej może ładne, mniej wymuskane, ale dla tego że prawdziwe, i żyjące istotną nam sprawiają przyjemność. Obrazek Horowitza to nie rycina z dziennika mód, to nie miniaturka z wachlarza, lub z bombonierki, to istotny wizerunek życia a natury i jako taki zaszczytnego godzien uznania.

Prawie to samo można powiedzieć o bardzo nie brzydkim obrazku p. T o u l m o u c h e pod tytułem: *„La flirtation“* (wymawiaj „flirteszen“) Nie wiemy jak Amerykański ten wyraz niedawno przyswojony przez francuskie towarzystwo na ojczysty język przetłumaczyć. Wyraża on coś jak gdyby pierwsze forpocztowe potyczki na polu miłośnych bojów. Pan Toulmouche rzecz tak trudną do określenia słowami, z wielką łatwością ilustrował pędzlem dowcipnym. W eleganckim saloniku, zalotnie ku sobie pochylona młodzieńcza para, przed rozpoczęciem stanowczej walki, bawi się w tyraljerkę spojrzeń i uśmiechów. — Wielkim hipokondrykiem, wielkim mizantropem musiałby być ten przechodzień, którego by to miluchne, wesoło i sprytnie wykonane cacko nie zatrzymało na chwilę.

V o l l o n: „Rybaczka z Dieppe“. P. Vollon znanym był dotychczas jako malarz „natur martwych“ i pierwszy to raz podobno stopień czyniąc w górę, bierze się do odwzorywania ludzkich postaci. Nie domyślił by się tego patrzący na jego „Rybaczkę“ widząc w niej tyle pewności pędzla, tyle siły, tyle biegłości w wykonaniu. Doskonale schwycony ton i barwa ciała zczerstwiałego, pod podmuchem wichrów morskich. Pejzaż w około także bardzo udatny. O ileż wolimy to od przeszłorocznego, rozpłatanego wieprza, jakkolwiek zachwycała się nad nim znawców rzesza. De gustibus non est disputandum. Nieprawdaż?

W grupie „malarstwa rodzajowego“ oprócz wyżej wymienionych zasługują jeszcze na wzmiankę prace następujące:

Panów P e r r a u l t: „Wyrocznia sielska“. Dziewczę obrywające stokrótkę i z dobrze oddanem wzruszeniem oczekujące na wyrok ostatniego jej listeczka; M o r e a (A d r i a n a): „Spoczynek na folwarku“. Wdzięczny i rzeczywistym spokojem tchnący obrazek; Z u b b e r - B u h l e r (Szwajcar): „Satyr i Nimfa“. Przedmiot dość oklepany, lecz opracowany starannie i nie bez wdzięku; E d o u a r d: „Odaliska“ komentarz niepotrzebny; C e c c a r i n i (Florentczyk): „Chrzciny w Katakumbach“. Dużo swobody wykonania; A u s s a n d o n: „Dzień Nowego roku w Alzacji“. Bardzo niczego kompozycja i t. d. i t. d. i t. d.

Przechodząc do trzeciej grupy, do pejzażystów i malarzy „natur martwych“ następne wytknijmy w niej rzeczy.

Obraz pana B e r n e - B e l l e c o u r: „Deser“. Stół zastawiony przyborami dostatniego dania. Różnych barw i kształtów owoce w kryształowych połyskują czarach. Rzecz bardzo zgrabnie i sumiennie opracowana a względnie przynajmniej wyzwolona z suchości zwyczajnej w tego rodzaju produkcjach. Wbrew tytułowi „martwa natura“ nie jest tu ona jeszcze tak „martwą“ by ani śladu z swej przedśmiertnej nie przechowywała świeżości. Znany jako malarz bitew pan Berne-Bellecour w tym roku z powodzeniem do innego wziął się rodzaju. Ha! *Qui peut plus peut moins* jak francuskie powiada przysłowie.

J e a n n i n: „Kosz kwiatów“. Pod względem precyzji wykonania p. Jeannin godnym jest współzawodnikiem pana Firmin-Girard (patrz wyżej), a pod względem wdzięku, życia, poezji bije go na głowę. Śliczny obrazek. Jaki przepych kolorów! Co zwalczonych trudności! Patrzcie ta gałązka bzu białego na lewo, jak odstaje od papieru także białego, który kukiet otacza. Niemal że omamieni nie wyciągniemy dłoni.

C h a b r y: „Brzegi Autemy“. Pejzaż pełen świeżości, słońca, powietrza. Ot jak trzeba malować, panowie „wrażeniowcy“. Ot jak trzeba widzieć naturę. Dość spojrzeć na pracę p. Chabry, by się przekonać, że dokładność, wyrazistość zarysów, nie wyklucza poezji i marzyć nie wzbrania. Oko widzi jasno, co leży przed niem, lecz to nie przeszkadza myśli mknąć naprzód i gubić się w tych wytwarzających tło obrazu błękitnych tumanach oddali. Chabry potrafił ująć dobrą stronę zasad Corota z usterkami onych mijając się z chwalebną ostrożnością. Jak gdyby umyślnie spotęgował je, podniósł, niedaleki sąsiad poprzedniego p. Daubigny. Pejzaż jego zatytułowany w katalogu „Ogród warzywny“ przedstawia się nam jedną zieloną plamą, na tle której brunatne, gdzie niegdzie rzucone prążki, oznaczać mają pnie drzew owocowych. Zaiste tak malować potrafi każdy, byle by miał spory pędzel pod ręką i sporą ilość dobrze rozrobionych kolorów. Szkoda! Daubigny to znane w dziedzinie sztuki nazwisko, dawniej pod niejednym bardzo ładnym połyskiwało utworem. Trzeba, by zachcianki błędnie pojętych reform, niweczyły wziętość, zarobioną szeregiem prac niegdyś cennych. Wspomnijmy o dwóch ładnych widokach Wschodu „Nil“ i „Esneh“ p. F r o m e n t i n, o bardzo pokaźnym pejzażu „Most w Sevres“ p. H e r p i n o bardzo, bardzo, zadawalniających pracach w tymże rodzaju panów: P e l o u s e „Wyrąb lasu w Senlisse“, F r a n c a i s „Staw w Scey“, L a t o u c h e „Przypływ morza w Cayeux“ i t. d. i t. d. i przejdźmy do czwartej i ostatniej grupy, do działu portrecistów.

W kole ich pierwsze miejsce zajmie bezwątpienia C a r o l u s D u r a n z portretem „Emila de Girardin“ znanego tutejszego publicysty. Talent pana D u r a n nie zawsze przypadał nam do serca. Zarzucaliśmy mu wymuszoność, gonienie za efektem, zbytek pretensji. Ale co w tym roku, to bijemy mu czołem. Wymieniony portret jednym zamachem w rzędzie pierwszych stawia go malarzy. Rzadko zdarza się widzieć coś udatniejszego w tym rodzaju sztuki. Rzadko zdarza się widzieć portret, podobieństwo fizyczne i charakter moralny modelu w podobnie elokwentny uwydatniający sposób. Któż Emila de Girardin nie zna z reputacji? Jego utopje polityczne wytworzyły zeń typ znany całemu czytającemu światu. Nigdy go nie widziałem osobiście a przysiągłbym patrząc na portret że on takim, a nie innym być musi. Świadectwo osób znających go z widzenia dopełnia, co nasze stwierdza w zupełności. Wykonanie świetne. Jakie życie w tej głowie!

Drugi portret tegoż samego artysty „Margrabiny A.“ (przedstawiona w chwili gdy schodzi ze schodów) malowany według dawnych zasad, pretensjonalny i o wiele gorszy.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Les Francais en Amerique par Leon Chotteau. Paris — 1876.

W dniu 4 Lipca Stany Zjednoczone obchodziły tryjumfalny dzień ogłoszenia swej niepodległości. W chwili tak podniosłej i ze względu, że świat z powodu wystawy na Filadelfję zwrócone oczy, podróżnicy, którzy kiedykolwiek zwidzali Amerykę, ogłaszają na wyścigi swoje wrażenia, torując drogi licznym dziś wędrowcom. Między innemi dzieło P. Chotteau zasługuje, byśmy na nie zwrócili uwagę naszą. Autor przebywał długo w Stanach Zjednoczonych, zna do gruntu życie mieszkańców, zostawił jednak na boku teraźniejszość, a cofa się o wiek cały i pokazuje chwilę stanowczego przełomu w dziejach, którego pamięć głosiły tryumfalnie 4 Lipca dzwony Filadelfji. W wymownym wstępie do tego dzieła, skreślonym pismem profesora Labaulaye, wylicza autor długi poczet bohaterów tej wielkiej epopei. Obok imion Washingtona, Lafayetta, Rochambeau, Viomenila, Lincoln i tylu innych przypomina imiona Kościuszki i Puławskiego. Wstęp ten szanowny profesor kończy słowy, które każdy naród złotemi zgłoskami powinienby sobie zapisać: „Aby odżywić te wspomnienia, aby rozbudzić tę przeszłość pełną chwały postanowiliśmy wznieść w zatoce Nowojorskiej kolosalny posąg, który stawi przed oczy przyszłym pokoleniom pamięć związków, łączących Francją z Ameryką. Ktokolwiek zbada historję tej epoki, nie obwini nas o próżny entuzjazm. Lud zdolny przepomnieć wielkich dziejowych wspomnień, to istny marnotrawca rzucający na wiatr najdroższy spadek odziedziczony po praojcach. Siła narodów leży po większej części w ich historji, a kiedy owa historja ma tak bohaterskie karty, jak wyprawa nasza do Stanów Zjednoczonych, zatracić byłoby zbrodnią. Z synowską też miłością otrząśnijmy je ze stuletniego pyłu, powróćmy im dawną ich świetność. Tak czynił P. Chotteau, ztąd dzieło jego wiele naucza a zarazem najżywsze budzi zajęcie.“ Pan Chotteau w wycieczkach swoich zatrzymując się nad Hidsonem, tą najpoetyczniejszą rzeką Stanów Zjednoczonych tak mówi dalej: „Na szczycie przylądku podpartego złomami wielkich skał ciągnie się wieś rozległa. Miejsce to najpiękniejsze w świecie. W r. 1802 zbudowano tu szkołę wojskową; jest w niej 250 uczniów. Obok szkoły w bliskości Hudsonu stoi biała marmurowa kolumna. Na niej napis „Kościuszko.“ Pomnik

wzniesiony przez korpus kadetów w r. 1828. Słynny generał, który służył Stanom Zjednoczonym na polach bitwy, a którego ciało prawodawcze w Paryżu uczciło tytułem obywatela francuskiego, przemieszkał w tem miejscu. Pokazują dotąd ogród zdeptany wielokrotnie jego stopą. Bitwę pod murami Sawannah, w której jak wiadomo poległ Kazimierz Puławski, tak opisuje autor: „Było to 9 Października 1779 r. Wiceadmirał d'Estaing i generał Lincoln, obaj spokojni, nieustraszeni, zagrzewają własnym przykładem kolumny oblężnicze. Wojsko rzuca się do ataku, rażone ogniem to ustępuje, to znów pomyka naprzód. Dwa sztandary zatknięto już na szańckch. Dzielny Puławski z bohaterską odwagą przebiega w cwał pomiędzy redutami; przez 55 minut Francuzi i Amerykanie pod ognistym gradem kul współzawodniczą o pierwszeństwo. Daremne wysilenie! Trąba dzwoni do odwrotu. Wśród trupów francuskich i amerykańskich poznano zszarpane kulami ciało Kazimierza Puławskiego."

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

Kraków 24 lipca 1876.

Tegoroczna wystawa w krakowskiej szkole Sztuk pięknych, właśnie co zamknięta, uderzała nadzwyczajną ilością studjów rozmaitych, przeważnie rysunków. Chwalebny to rezultat! Z liczby 67, tych tylko wymienię uczniów, których prace zwracały uwagę znawców, i nieobojętnych na rozwój świetny tej szkoły, prowadzonej wytrwale w obec licznych niedogodności, przez Jana Matejkę jako dyrektora, wespół z kilkoma około rozwoju tej szkoły dobrze zasłużonymi profesorami.

W dziale początkowym Iszym, rysunkami głów z antyku odszczególnili się Scheybald, Strażyński, Dykas. W IIgim dziale Swierzyński rysunkiem i rzeźbą i Marszałowicz. W III Drożdżeński, Palus, Daczyński (Amor figura wykończona dobrze.) W IV Zębaczyński i Binkiewicz, których studja głów z natury i figur, nadto mozolne rysunki anatomiczne i próby wykreśleń perspektywy celują.

Pejzaże: W bardzo obfitym i okazałym ugrupowaniu obrazów dominuje Hyrncisz. Wielki jego karton pejzażowy, o licznych zaletach specjalnych, świadczy, że wykonawca czuje i myśli Tegoż w oddziale innym jest tors z antyku starannie wycieniowany i inne pochwały godne rysunki. Machniewicza motywa różne i pejzaż z natury, tudzież kolosalna głowa Junony i figura Mojżesza starannie są wykończone — Harasimowicza motyw pejzażu zaleca się oryginalnem traktowaniem.

Dział malarstwa: Pochwalski. Cała figura z natury, kilka głów starców, dziewczynki i plecy chłopczyka, celują zdrowem pojmowaniem rzeczy, spokojnem a sumiennem traktowaniem i rozmaitością kolorytu. Wykończeniem w rysunkach zaś, a mianowicie: anatomicznych, wyróżnia się ten uczeń doskonałością zrozumienia, a liczba różnych prac świadczy o przykładnej i wiele obiecującej pilności.

Olesiński wystawił podobny model z natury z poczuciem kolorytu i kilka głów o różnych cerach, które świadczą o rozwijającym się korzystnie w usilnej pracy talencie.

Kiciński dał kilka dobrych prób głów z natury.

W kursie wyższym malarstwa, pod wyłącznym kierunkiem dyrektora, dominują piękne prace odznaczające się pewną powagą, dwóch najcelniejszych uczniów, a mianowicie J. Malczewskiego i Moniuszki. Dwa torsa kolosalne z natury, Malczewskiego, zalecające się poprawnym rysunkiem, w prawdziwie silnym a bogatym kolorycie, istotnie imponują. Nadto jest kilka głów obrazowo traktowanych, z poczuciem indywidualnych cech charakteru, wykończonych mądrze. W ogóle szerokie to traktowanie znamionuje coś więcej niż ucznia.

J. Koniuszki torsa znatury, mają wiele zalet tak w rysunku jak i w kolorycie. Przewaga jego jednak w głowach efektownych a bez maniery. Portret T. B. wielkiego podobieństwa, pełen delikatności w tonie, z precyzją w wykończeniu, znamionuje specjalność portrecisty.

Niemczykiewicza prace obecne, odróżniają się wielkim postępem od dawniejszych i zdradzają nie jedną dobrą stronę.

Dział rzeźby: Tu głównie trzech rywalizuje o pierwszeństwo, a każdy wykazuje odmienne ale zawsze cenne zalety.

Kossowski. Model z natury w płaskorzeźbie bardzo dobrze odwzorowany, wiele w charakterze wyrazu. Dwa medaljonowe portrety, mianowicie K. K. G. z sympatycznym wyrazem w szlachetnych rysach. Wenus, figura z antyku wybornie skopjowana.

Tąbiński. Gladjator w płaskorzeźbie z antyku, wiernie i ze znajomością anatomji wykończony. Bjust Panny K. uderzającego podobieństwa, modelowany wybornie, w precyzyjnych dotknięciach pięknych kształtów.

Błotnicki. Jedyny który dał kompozycję. Jego statuetka „Hamlet na cmentarzu," o właściwym wyrazie w twarzy i ruchu w całej figurze, odzianej w pięknie wykonaną draperję, znamionuje niezaprzeczenie wyższe siły co i w licznych rysunkach tak z antyku jak w akademicznych, i anatomicznych przebija. — Dauma medaljon niewykończony, ale za to Amazonki z antyku, duża płaskorzeźba, świadczą o talencie.—Pleszowskiego kolasalna głowa Junony, doskonale i z wielkiem wykończeniem kopjowana. Także i inne prace tak w rzeźbie jak rysunkach wiele obiecują. Prócz powyżej przytoczonych, są jeszcze w kompozycyjnym dziale uczniowie, przybyli tu z Akademji wiedeńskiej, mnichowskiej, rzymskiej, i pracują obecnie nad obrazami szerszych rozmiarów tak historycznych jak rodzajowych, pod wpływem osobistych uwag dyrektora. Obrazy ich po części już bywały i obecnie się znajdują w salach Towarzystwa przyjaciół Sztuk pięknych tak krakowskiego jak i za granicą. O pracach któremi obecnie są zajęci, dyskrecja nie pozwala nam mówić, to jedno wypowiedzieć godzi się, że takiemi owocami talentów i usilnej pracy, nie jedna zagraniczna Akademja pochwalić się nie zdoła, mimo że na utrzymanie np. wiedeńskiej Akademji rząd wydaje rocznie 118.000 fl. gdy na szkołę Krakowską niespełna 10.000 fl. Wreszcie należy się wyrazić uznanie pp. profesorom za ich trudy około przyszłości sztuki podjęte. Profesor Władysław Łuszczkiewicz wykłada anatomję, perspektywę i historję powszechną prowadząc także dział malarstwa. Prof. Feliks Szynalewski wespół z powyższym, kieruje wyższym i w niższym dziale rysuukowym. Prof. Henryk Grabiński kieruje działem pejzażów. Prof. Marceli Gujski rzeźbą. Uczniowie słuchają nadto wykładów Dra Józefa Łepkowskiego archeologji, symboliki chrześcijańskiej, a prof. Marjana Sokołowskiego estetyki.

Zanotować tu należy że Towarzystwo przyjaciół Sztuk pięknych w Krakowie przeznacza rocznie 200 zł. na cztery premia, które drogą konkursu uczniowie naszej szkoły otrzymują. Datek ten zawdzięczyć należy także wpływowi P. Piotra Umińskiego Sekretarza i Referendarza.

— Z przedstawienia „Zemsty" w teatrze lwowskim, wpłynęło 730 złr. które dyrekcja teatru przeznaczyła na konkurs dramatyczny imienia Aleksandra hr. Fredry. Ponieważ kwota powyższa, jakkolwiek bardzo piękna, na dobry konkurs nie wystarczy, przeto niech nam nie bierze za złe rodzina zmarłego pisarza, jeżli tu nadmienimy, że zebrany fundusik powinna i ona powiększyć, resztę zaś zbierze się drogą składek dobrowolnych. Dotychczas z grona rodziny złożyli na ten cel, hr. Jan Aleks. Fredro 50 złr. i tyleż hr. Szeptycki. Dyrekcja teatru wpadła również na bardzo szczęśliwą myśl przedstawienia kolejno wszystkich utworów scenicznych śp. Aleksandra Fredry. Na każdem z dotychczasowych przedstawień było stosunkowo bardzo wielu widzów. Przy tej sposobności niech nam będzie wolno nadmienić, że dyrekcja teatru lwowskiego powinna wszelkich dołożyć starać, aby komedje, zostawione przez nieboszczyka w rękopisie, były najpierw tu przedstawione. Wszak autor tu żył i tu pięknego dokonał żywota. Nie zaszkodziłoby także, gdyby dyrekcja powiedziała coś w tym względzie publiczności, która z największą niecierpliwością oczekuje pojawienia się na scenie pośmiertnych dzieł wielkiego pisarza. Komedyj wszystkich, z których żadna jeszcze nie była ani drukowaną, ani przedstawioną, jest razem 17.

— Co się dzieje z manuskryptami, które zostały po ś. p. Sewerynie Goszczyńskim? Komitet, który je wziął w swoje posiadanie, miał się zająć ich uporządkowaniem i przygotowaniem do druku, w odezwie zapowiedział także, że do kilku miesięcy pracy dokona; tymczasem od śmierci poety minęło pięć miesięcy, a komitet milczy uporczywie, jakby zapomniał o swojem obowiązku i własnem przyrzeczeniu. A niech komitet pamięta, że spuścizna po poetach jest własnością krajową, z którą nie należy postępować tajemniczo jak z prywatną.

— Znana lwowskiej publiczności śpiewaczka, pani Friderici-Jakowicka, bawi obecnie we Włoszech. Mamy w rękach dzienniki „Universo musicale" i „Gazzetta dei teatri" z których się dowiadujemy, że pani Jakowicka występuje w Rawennie, w sławnej operze Verdiego „Aida." Publiczność przyjmuje ją bardzo dobrze, a dzienniki, które przytoczyliśmy wyżej, z takiemi pochwałami rozpisują się o jej głosie i metodzie, że gdybyśmy zacytowali odnośne z nich ustępy, publiczność nasza wzięłaby to za przesadę.

— Panna Deryng wystąpiła już kilka razy w Warszawie, a krytyka tamtejsza nie może się dość nachwalić jej talentu. We wszystkich pismach tylko kadzidła dla niej. Ceniliśmy wysoko talent panny Deryng, ale zawsze nie unosiliśmy się nad nim tak bardzo jak Warszawa. Pochodzi to głównie ztąd, że Warszawa czyni to tendencyjnie. Pani Modrzejewska miała ostatniemi czasy bardzo wielu niechętnych w Warszawie. Otóż prasa chce teraz przekonać mieszkańców stolicy, że panią M. zastąpić można, i dla tego tak frenetyczne oklaski bije pannie Deryng. Młoda artystka powinna atoli wziąć to w rachubę, bo wygórowane pochwały łatwo mogą zwichnąć najpiękniejszy nawet talent.

— Dziś ma być zamkniętą we Lwowie tegoroczna wystawa sztuk pięknych. Artyści nie będą się prawdopodobnie uskarżali na nas w tym roku, bo dwadzieścia kilka utworów sztuki zostało sprzedanych na teraźniejszej wystawie. Może to zachęci artystów, i na przyszły rok więcej nam przyszlą utworów. Przy tej sposobności musimy donieść naszym czytelnikom, że pewna osoba chciała niedawno umieścić na wystawie bardzo dobrą kopję obrazu Kaulbacha „Zburzenie Jerozolimy" wykonaną przez jednego z polskich młodych artystów. Na wystawie nie przyjęto obrazu, twierdząc, że nie ma miejsca. Postępowanie takie zasługuje na największą naganę. Nie było miejsca na dobrą kopję znakomitego obrazu, a było miejsce na bohomazy i kredkowe kartony, które jako studja kwalifikowały się do szkoły rysunków, lecz nie na wystawę. Jeżeli tak dalej będzie postępowało Towarzystwo, to wkrótce pożegnamy się z wystawami.

ROZMAITOŚCI.

— W obecnej chwili, gdy uwaga wszystkich zwrócona jest na toczącą się walkę pomiędzy naddunajskimi Słowianami a Turkami, odwiecznymi ich ciemiężcami, wszelkie poważniejsze dzieła, mające na celu wierne opisanie przeszłości albo wyjaśnienie charakterystyki jednej z tych dwóch ras, niezmiernie są pożądanemi. Korzystając z wszelkiego w sam czas dzieła barona Schweiger-Lerchen pod tytułem: „Panowanie półksiężyca na Wchodzie," możemy zrozumieć dokładniej rzeczywiste znaczenie narodu, który pędzony niegdyś fanatyzmem religijnym, wdzierał się aż do serca Europy i na gruzach państwa bizanckiego ostatecznie potęgę swoją ugruntował. Autor, wyborny znawca rzeczy wschodnich, studjując osobiście tradycje i obyczaje Osmanów na miejscu, podaje o nich wiele ciekawych i pouczających szczegółów, prostuje także błędne mniemania zakorzenione od dawna w Europie co do cywilizacyjnego wpływu wywieranego jakoby przez Turków na kraje przez nich niegdyś zawojowane. Do najważniejszych błędów, według jego przekonania, w jakich pozostają wszyscy zajmujący się sprawą wschodnią, należy ten, że cały tegoż Wschodu przepych, świetna przeszłość, jako też romantyczność poezji mahometańskiej, znajdującej swój wyraz w 1001 Nocy, przypisywany bywa zwykle Turkom, podczas gdy istotnie Arabom zawdzięcza istnienie swoje. Oni to są twórcami owych ślicznych a pełnych poetycznej woni powiastek, architektury, malowniczych strojów, całej wreszcie orjentalnej kultury, rozciągającej się niegdyś od granic Persji aż do wnętrza Hiszpanji. Po dziesięciowiekowem świetnem panowaniu Arabów, nastało od lat 400 panowanie rasy turecko-tatarskiej; od tego czasu wszystko pochyliło się tamże ku upadkowi, wszystko pruchnąć, gnić poczęło, i cała wschodnia cywilizacja stała się już tylko czczem, martwem słowem, bo pod panowaniem półksiężyca tylko kona ciągle i do ostatecznej zagłady dojść musi. Dosyć jest rzucić bezstronnem okiem na stan rzeczy istniejący nad Bosforem,

ażeby się o tem jak najmocniej przekonać. Wszyscy podróżnicy opływający jego brzegi zgadzają się na to, że dziś jeszcze nic piękniejszego i romantyczniejszego na świecie widzieć nie można; wspaniałość natury łączy się tam z niezmiernie bujną wegetacją, a począwszy od Kilios aż do wysp Książęcych, aż do Pera, Złotego rogu, Uskadaru i samego Stambułu, nigdzie nie spotyka się równie wielkiego bogactwa przyrody, zdobnej w malownicze widoki, wspaniałemi architektonicznemi budynkami okraszonej. Ale od 400 lat czyli od czasu panowania nad tym cudnym kawałkiem ziemi Turków, więcej tam już nędzy żebraczej aniżeli skarbów złota i drogich kamieni, więcej brudu, niechlujstwa i śmieci, aniżeli ładu i porządku. Tysiące kiosków, wili, wież i zameczków służą jedynie za schronienie włóczęgom, żebrakom lub łotrom. Co zaś nowo i kosztowniej nieco wybudowane należą albo do sułtańskiego zubożałego dworu, do pewnych na awanturniczych przedsięwzięciach wzbogaconych osobistości, albo też są dziełem Europejczyków szczęśliwie rozmaitemi rzeczami spekulujących a pochodzącemi ze świeżej daty. W Turcji nie istnieje wcale stan średni, mogący żyć stosunkowo w niezależnyeh warunkach, jak to się jednakże widzi w Europie, chociażby w krajach rządzonych największym absolutyzmem. To zaś, co z sąsiednich ziem ściąga się do metropolji tureckiej, nie wyłączając konsulów i ambasadorów większych mocarstw, wszystko to uważa się tylko za czasowych mieszkańców, nie czujących się zgoła w obowiązkach do utrwalania sobie stałych siedzib i często najniekorzystniejszy moralnie wpływ na miejscową ludność wywierających. Równie ujemnemi słowy wyraża się Schweiger o zamordowanym co dopiero sułtanie; według jego przekonania Abdul-Aziz był człowiekiem niezmiernie ograniczonym, tępego umysłu, chciwym złota a zarazem rozrzutnym aż do marnotrawstwa. Dni całe przepędzał w zupełnej bezczynności, naprzemian pomiędzy kobietami w haremie, na przysłuchiwaniu się muzyce nadwornej i przypatrywaniu się walkom kogutów. Ulubieńca swojego, naczelnika eunuchów, ozdobił wielką wstęgą orderu Osmana, który paradował w niej na równi z najwyższymi dostojnikami panstwa, z ministrami, ambasadorami, gdy ci do Dolma-Bagdże przybywali na audjencją do sułtana. Żadna turecka rodzina nie jest tak zanieczyszczoną krwią mięszaną, obcą, jak cesarska panująca w Stambule, bo sułtanowie nie z pośród księżniczek, nie jak inni Turcy z pośród dziewic rodzin należących do tego samego szczepu wybierają sobie żony, lecz zwykle harem ich napełniają georgijskie Czerkieski, Ormianki, albo wreszcie nabywane za pieniądze dziewice w Gondar albo Massanach. Jak Abdul Aziz był mieszańcem i potomkiem upadłej fizycznie rasy, takiemi są wszyscy książęta jego familji. Ciekawe są w tym względzie krótkie, charakterystyczne biografie, jakie autor tego dzieła podaje o wszystkich męzkich członkach panującej rodziny. To zaś, co mówi o niedawno powołanym do panowania nad Turkami padyszachu, nie stanowi żadnego w tej materji wyjątku. Chociaż rodem Austrjak, baron Schweiger ma najzupełniejsze przekonanie, iż rozkład rasy tureckiej jest tak wielki, jej moralny upadek tak zupełny i głęboki, iż nie ma najmniejszej nadziei, aby podnieść się kiedy mogła do zajęcia odpowiedniego. pośród cywilizacji europejskiej stanowiska. Już sam Koran stanowi wielką i nieprzepartą ku temu zaporę, mała zaś niezmiernie liczba oświeceńszych Turków żadnego prawie a przynajmniej bardzo mały tylko wpływ na miljony fanatycznej, ciemnej i apetycznej ludności mahometańskiej wywierać może. Znakomity publicysta francuski John Lemoinne w Journal de Debats przemawia śmiało w dzisiejszych czasach, aby polityka europejska nie wahała się z utworzeniem silnych a niezależnych państw słowiańskich nad Dunajem; tego samego zdania jest autor powyższego dzieła, bo, jak mówi; „wtedy dopiero błogie skutki trwałego pokoju zakwitnąć mogą i w przyszłości korzystne a pożyteczne dla Słowian i reszty Europy wydadzą owoce."

— Obok uznanych i patentowanych rzemiosł w Paryżu, jest jeszcze wielka liczba pobocznych zajęć, w które baczny dostrzegacz może się dopiero wtajemniczyc, dłużej w tem mieście przebywając. Ofiarowanie naprzykład ognia do cygar na placach i ulicach najbardziej uczęszczanych, zbieranie niedopalonych cygar na bulwarach, otwieranie i zamykanie drzwiczek od pojazdów przed teatrem i kościołem, jest codziennem zatrudnieniem znacznej liczby paryskich chłopców. Są także myśliwi na koty, którzy niższych rzędów restauracjom dostarczają materjału na potrawki, artyści sylwetek, którzy wycinają za 50 centymów żądane portrety w jakim szynku. Istnieje także wielkie towarzystwo sprzedających kontramarki, którzy są bardzo dobrze uorganizowani i posiadają kapitał 400,000 fr. Wypada również wspomnieć o fabrykantach lodów ludowych (glaces populaires) którzy za 10 centymów (4 centy) dają dużą porcję lodów, à la vanille lub au citron. Nie trzeba zapominać o „dobrych ludziach" którzy zrana pożyczają przekupkom 5 fr. a wieczór tego samego dnia odbierają 5 fr. i 15 centymów, co wynosi 1095 fr. od 100 na rok... o posiadaczach wózków o dwóch kołach wynajmujacych przekupkom dla rozwożenia jarzyn po ulicach, a którym podobne wynajmowanie jednego wózka czyni 500 fr. rocznie dochodu. Przytoczyć nie mniej należy o samotnych klakierach, lecz nie można ich uważać za jedno z klakierami znajdującymi się w każdym teatrze i płatnymi co wieczór, bo ów samotny klakier wtenczas tylko klaszcze i okazuje zapał, gdy cała sala jest cicho zwraca więc na siebie uwagę powszechną i stara się pociągnąć za sobą publiczność. Trafia się też nieraz że go wyrzucą za drzwi, lecz czasem udaje mu się jego zamiar i wtedy dobrze bywa wynagrodzonym. Wszystkie owe zatrudnienia dają jakie takie utrzymanie. Jest jednak pewne rzemiosło nie mające dotąd nazwiska, a to można nazwać rzemiosłem piątego świadka. Przed komuną, gdy gwardja Narodowa jeszcze egzystowała, zauważałem młodego człowieka ujmującej powierzchowności, w mundurze gwardzisty, który przechadzał się regularnie co sobota między dwunastą a drugą po dziedzińcu merostwa drugiego cyrkułu. — „Jesteś pan zapewne na służbie?— raz go zapytałem. — „Tak jest panie" — Czy kolej wypada na pana co sobota?" — Tak jest... co sobota." — „To mnie mocno zadziwia, gdyż o ile mi jest wiadomem kolej służby każdego gwardzisty przypada ledwie raz na dwa miesiące." — „To prawda, panie, lecz ja ze względów filantropijnych przyjmuję służbę za niektórych z moich towarzyszów." — „I to tylko w sobotę?" — „Tylko w sobotę. Teraz jednak, bądź pan łaskaw i pozostaw mnie samego, nie zbliżaj się wcale do mnie i nie mów nic ze mną. Wszakże mi pan nie chcesz zaszkodzić?" — „A to jakim sposobem?" — „Pan pewnie nie masz zamiaru rywalizować ze mną w tym samym zawodzie?" — „Uchowaj mnie Boże!" — „A więc opuść mnie pan. Wytłumaczę się z tego później." Oddaliłem się, lecz ciekawość moja była mocno zaostrzona. Chciałem się dowiedzieć, dla czego ten młody gwardzista, którego służbistość zdawała się być godną pochwały, wybrał sobie tylko soboty na usługi krajowi, i dla czego chodziło mu o to, aby między godziną dwunastą i drugą spacerował sam po dziedzińcu merostwa. Udałem się do sierżanta warty. „Kto jest ten młody człowiek, — zapytałem brodatego syna Marsa, który się tam przechadza?" — „Jest to znany dobrze młodzieniec, trochę dziwak." — „Czemże się trudni?" — „Pracuje u notarjusza." — „Przecież tu nie przyszedł do zredagowania jakiego aktu urzędowego?"— „Kto wie! Niech pan tylko uważa na to, co się stanie? Lubi zabawę, dobry stół, muzykę i taniec." — „I dla tego przychodzi na wartę?" — „Właśnie dla tego." — „Nie rozumiem pana." — „Niech pan tylko uważa a wkrótce zrozumiesz. Ale muszę pana na chwilę opuścić, idę po hasło." Sierżant wyszedł, a ja stanąłem przy oknie zkąd mogłem widzieć wszystko, co się działo w dziedzińcu merostwa. Jaśniejący szczęściem ojcowie przychodzili z nowonarodzonemi dziećmi, ubranemi w piękne białe płaszczyki, do zapisania aktu chrztu; przybywały wesoły orszaki weselne, z wystrojonemi narzeczonemi, którym towarzyszyszyły radośne druchny, poważne babki i rozczulone matki. Nagle jakiś pan w białych rękawiczkach, białej krawacie, ufryzowanych włosach, nowym czarnym fraku, zbiegł prędko ze schodów merostwa i mocno zafrasowany oglądał się na wszystkie strony. Mój spacerujący gwardzista udał, jakby go nie widział, chodził z daleka około niego i nucił coś pod nosem. W tem jegomość w rękawiczkach stanął przed nim. Nie straciłem ani jednego wyrazu z ich rozmowy, gdyż stali tuż blisko mnie. — „Panie, — westchnął czarny frak — jestem w wielkim kłopocie." „Cóż pan sobie życzy? — zapytał gwardzista." — „Żenię się." — „I to pan nazywasz kłopotem." — „To, właściwie nie, „lecz brakuje mi świadka a małżeństwo nie może być zawartem, bez pięciu świadków. Prawo tego wymaga, artykuł kodeksu Napoleona tak nakazuje. Czy nie mogłbym liczyć na pańską grzeczność, że zechcesz zastąpić świadka, który mnie tak haniebnie zawiódł?" — „Z największą przyjemnością!"— odrzekł grzecznie gwardzista i poszedł za narzeczonym do sali. Gdy ztamtąd powrócił twarz jego jaśniała radością. Właśnie przystąpił do mnie sierżant, a trąciwszy łokciem szepnął: — „Dopiął już swego, zaproszony został na wesele." — „Czy tak?" — „Ma się rozumieć. Niegrzecznie byłoby nie prosić na wesele człowieka, który się tak uprzejmym okazał, że zastąpił brakującego świadka." — „I on to robi co sobotę?" (W sobotę po większej części odbywają się małżeństwa w merostwach.) — „Co sobotę i to w nadziei, że mu się kiedy poszczęści i jaka milutka druchna wybierze go za męża. Jest to zresztą wcale dobry chłopak, ma miłe ułożenie, jest wykształcony, ale posiada jedną wielką wadę." — „Jakaż to?" — „Goły, jak turecki święty." Ledwieśmy zakończyli powyższą rozmowę, gdy gwardzista zbliżył się do swego przełożonego i prosił o urlop na dzisiejszy wieczór.—„Jak zwykle — odrzekł śmiejec się sierżant." — „Cóż robić? Staram się zabierać znajomości i dlatego odgrywam rolę piątego świadka. To także dobre rzemiosło jak każde inne." — „Życzę panu, by dzisiejsze wesele było pomyślnem dla niego"—rzekłem mięszając się do rozmowy. „Dałby to Bóg — odpowiedział gwardzista, mam już lat trzydzieści, czas byłoby o sobie pomyśleć." — „Jednak— rzekłem śmiejac się — za to, żem z panem nie rywalizował, musisz mi wyświadczyć przysługę." — „Z największą chęcią, co tylko mogę" — zawołał. — „Wybierz mnie pan za świadka, jeżeli się ożenisz w skutek dzisiejszego wesela." — „Dobrze przyjmuję pańską propozycją" — odrzekł wesoło, poczem ścisnęliśmy sobie ręce, zamieniliśmy karty wizytowe i rozeszliśmy się śmiejąc. Upłynęły dwa miesiące. Jużem prawie zapomniał o tem wesołem zdarzeniu, gdy pewnego poranku, oddano mi z poczty dwa listy. Jeden litografowany na eleganckim papierze zawierał co nstępuje: „Pan Anatol Desbarois ma zaszczyt powiadomić pana o swych zaręczynach z paną Cleoniną d'Arbaville. Uroczyste zawarcie związków małżeńskich odbędzie się w d. 17 marcu w kościele Notre Dame de Lorette, na które ma honor pana zaprosić." Drugi list był treści następującej: „Przyrzekłem że pana zaproszę na ślubnego świadka, jeżeli sobie zdobędę żonę na weselu, na które zaproszony zostałem w pańskiej obecności. Szczęście mi posłużyło i mer drugiego cyrkułu nada mym szczerym chęciom prawny charakter. Proszę pana, abyś mi służył na świadka, lecz nie zrób mi tylko zawodu bo o ile mi wiadomo, nie mam jeszcze następcy w dziedzińcu merostwa. Anatol." Na dwa dni przed weselem, udałem się do szczęśliwego śmiertelnika, aby się dowiedzieć bliższych szczegółów. — „Tamto wesele — zawołał — było dla mnie pomyślnem." — „Ale to wdowa — odrzekłem." — „To prawda, ale jeszcze śliczna kobieta." — „Czy bogata?" — „I bardzo." — „Ma dzieci?" — „Nie." — „Więc będziesz pan przez nią bogatym?" — „Tak, lecz to mnie martwi, bo ją prawdziwie kocham." — „Więc pańskie szczególnego rodzaju rzemiosło, wynagrodziło cię i uszczęśliwiło." — „To prawda, ale przychodzi mi na myśl że i pan nie jesteś żonaty, dla czegóż nie miałbyś pójść za moim przykładem?" — „Kto wie, co jeszcze się stanie — odrzekłem— zawsze jednak skorzystamy z pańskiego zdarzenia." Oto mała historyjka doskonale malująca jeden z lekkich zarysów Paryża.

Treść Nr. 31.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).